

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

WŁADYSŁAW STUDNICKI.

SPRAWA POLSKA W DOBIE OBECNEJ.

Sprawa polska, to zdobycie bytu państwowego przez naród polski, to kwestya prawidłowego wszechstronnego rozwoju narodu polskiego, gdyż naród żyć i rozwijać się może tylko przy współdziałaniu własnego państwa, tego oręża w międzynarodowej walce o byt, tego podstawowego czynnika polityki ekonomicznej, potęgującego produkcyę narodu, regulującego podział jego bogactw. Brak samodzielnego bytu państwowego zmusza Polskę oddawać znaczną część swego przyrostu naturalnego innym krajom, rozsypywać ludność polską po świecie: Ameryce i Europie, dostarczać krajom przemysłowym piątego stanu, t. j. robotników niefachowych, pracujących w najcięższych, najmniej opłacających się gałęziach pracy.

Sprawa polska nie jest sprawą lokalną, dotyczącą tylko narodu polskiego i mocarstw rozbiorczych. Była ona sprawą europejską w ciągu całego XIX w., wpływała bowiem na układ polityczny Europy. Była ona palnym materyałem, potęgującym rozmach wojen Napoleońskich.

Napoleon I i Aleksander I, obaj mocarze, walczący o hegemonię w Europie, rozumieli, że jest ona zależną od tego, po czyjej stronie stanie Polska, to centrum geograficzne Europy. Następnie, t. z. święte przymierze trzech monarchii: Rosyi, Austryi i Prus, było scementowane podziałem Polski. Rewolucya w Wiedniu, w Berlinie 1848 r., kontr-rewolucya 1849 — pozostawały w ścisłym związku z wołającą o swe rozwiązanie, a nierozwiązaną sprawą polską.

Podzielona przez trzy mocarstwa, z ogromną przewagą działu rosyjskiego, Polska nie przestawała i nie przestaje być zaporą rosyjskiego imperializmu w Europie, skierowanego ku zaborowi ludów słowiańskich Austro-Węgier i Turcyi, t. z. panslawizmowi rosyjskiemu.

Zabrana, ale nie dająca się strawić Polska przez Rosyę, osłabia jej pęd ku Zachodowi, ku Europie. Jest to czynnik zmuszający Rosyę, powstałą z zaborów i podtrzymującą się zaborami, do szukania zdobyczy w Azyi, do konfliktów na Wschodzie. Wzmacniający się separatyzm Polski jest jednym z czynników, osłabiających Rosyę wogóle, a więc i Rosyę na dalekim Wschodzie. Jako antagonista Rosyi, naród polski posiada dziś międzynarodowe polityczne znaczenie, jak i Rosya, oddziaływująca swą polityką na trzy części świata.

Sprawa polska jest to zatarg dziejowy polsko-rosyjski. Z rąk Rosyi zginął byt państwa polskiego. Rosya od początku XVIII w. przeciwdziała reformom politycznym, mogącym wzmocnić państwo polskie

przez usunięcie wad jego ustroju. Rosya w XVIII w. gospodarzyła w pozornie samodzielnej Rzeczypospolitej, jak w domu. Konfederacya barska, związana z imieniem Pułaskiego, była pierwszą walką Polski z Rosyą o niepodległość, wojną trwającą lat cztery. Gdy wyczerpana nią Rzeczpospolita uległa, nastąpił pierwszy rozbiór Polski, jako rezultat kompromisu zaborczych dążności Rosyi z dążnościami Prus do zaokrąglenia granic i Austryi do zachowania równowagi sił.

Rosya w 1792 r. obaliła z bronią w ręku konstytucyę 3-go Maja 1791 r., mogącą zapewnić Polsce rozwój pomyślny.

Rosya skorzystała wówczas z chwilowego rozdwojenia w narodzie polskim i z nierozumienia przeciwników nowej konstytucyi, że tu idzie nie o nową formę rządu, ale o byt państwowy i, pokonawszy bez wielkiego oporu Rzeczpospolitą, wespół z Prusami wystąpiła do drugiego podziału. Przeciwko Rosyi wybuchło powstanie Kościuszki w 1794 r., owe reagowanie narodu na drugi podział.

Gdy przyszedł okres wojen Napoleońskich, Prusy i Austrya, jako bliżej leżące podstawy operacyjnej Napoleona, ucierpiały znaczniej w tych wojnach, niż Rosya. Prusy i Austrya utraciły w tym okresie część swych nabytków na Polsce, Prusy w 1806, Austrya w 1809 r. Tylko Rosya, którą Napoleon usiłował zjednać w 1806 r., otrzymała obwód Białostocki, zdobyty przez Napoleona na sprzymierzonych z nią Prusach. W 1815 r., jako zwycięzca Napoleona, cesarz rosyjski połączył koronę rosyjską z polską. Konstytucya 1815 r., która wedle uchwał kongresu miała być warunkiem połączenia Polski z Rosyą, miała osłabiać panowanie Rosyi w Warszawie.

Konstytucya ta, wielokrotnie naruszana przez cesarzy rosyjskich, zostaje zniesioną po wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. Jakkolwiek ze względu na Europę cesarz rosyjski, Mikołaj I, nie wydał aktu wcielenia Królestwa i upewniał, że będzie przestrzegał traktatów, „stanowiących publiczne prawo Europy“, jednak Królestwo faktycznie zostaje wcielone do Rosyi. Rosya przez to objęła w posiadanie $^{5}/_{7}$ dawnego terytoryum Rzeczypospolitej.

Ogół zajętych przez Rosyę prowincyi dawnego państwa polskiego wynosi do 570.000 km. kwadr., w tem obszar Królestwa obejmuje 125.915 km.

Zabór pruski stanowią dwie dawne prowincye Rzeczypospolitej: Prusy Zachodnie 25.535 km. kw., i Poznańskie 28.971 czyli 54.506 km. kw., czyli około 8% km. kw. naszego terytoryum państwowego, jeżeli zaś dodamy polskie części Śląska i Prus Wschodnich, to około 10%.

Przestrzeń Galicyi wynosi 78.000 km. kw., około 12% naszego terytoryum dziejowego.

Cyfry te dowodzą, że Rosya zabrała Polskę; Prusy i Austrya posiadają tylko jej prowincye.

Na dział rosyjski przypada Królestwo, kadłub Polski, kraj, gdzie pierwiastek polski niema w obcoplemiennym współzawodnika, oraz rozległe ziemie Litwy i Rusi, będące krajem mieszanym: polsko-litewskim, polsko-małoruskim, ale nie polsko-rosyjskim. Zabór pruski to kraj mieszany.

Prusy Zachodnie na 1,563.000 ludności w r. 1900 posiadały 556.000 ludności polskiej, a 1,008.000 niemieckiej.

Poznańskie na 1,887.000 ludności posiadało 1,167.000 ludności polskiej, 720.000 niemieckiej.

W Śląsku Opolskim na 1,198.000 ludności jest 811.000 polskiej, 387.000 niemieckiej.

Jeżeli na Śląsku mamy stosunek ludności polskiej do niemieckiej bardziej korzystny, niż w Poznańskiem, to siła społeczna tej ludności, stanowiącej tylko warstwę chłopską i robotniczą, jest znacznie słabsza od siły społecznej ludności niemieckiej i wytwarza polską siłę polityczną słabszą, niż w Księstwie Poznańskiem.

Zabór Pruski jest krajem mieszanym; nie dorachowujemy do niego Prus Wschodnich, które były tylko lennem Rzeczypospolitej — i na 1,926.000 ludności mają wszystkiego 311.000 ludności polskiej. Nawet gdy nie będziemy rachowali Prus Wschodnich, otrzymamy na terytoryum, zamieszkałym przez 5,318.000 — 2.870.000 ludności polskiej, 2,578.000 niemieckiej. Przyczem ludność niemiecka ma olbrzymią przewagę materyalną nad polską. Otóż nawet, gdyby dzięki jakiemuś kataklizmowi dziejowemu, zabór pruski został oderwany od Niemiec, to jako samodzielne państewko, zarodek państwa polskiego nie mógłby istnieć, gdyż ciążenie przeszło $2^{1}/_{2}$ milionów Niemców zwracałoby go do powrotu do związku z Niemcami, przytem te $2^{1}/_{2}$ mil. posiadają w swym ręku przeszło $^{3}/_{4}$ bogactw tych krajów.

Odbudowa państwa polskiego nie od zaboru pruskiego może się rozpocząć. W czasie, dostępnym dla naszych kombinacyi politycznych, my go nie uzyskamy.

Polskość w nim może być ożywiana przez promieniowanie z zewnątrz, lub przez rozszerzenie jego granic kosztem zaboru rosyjskiego.

Zabór rosyjski, w którego skład wchodzi Królestwo, w którym Polacy stanowią przeszło 80% ludności (Żydzi 14%, Litwini 2·7%, Niemcy 5%) może i musi być początkiem naszej odbudowy politycznej.

Myśl popularna przed kilkoma laty, że Królestwo przy współistnieniu z Rosyą otrzyma autonomię, musiała okazać się złudną. Była bowiem oparta na przyrzeczeniach tych Rosyan, którzy pragnęli obalić rząd i rachowali na naszą pomoc. Jednak, gdy się oni znaleźli w ilości przeważającej w pierwszej Dumie, do swego adresu, zawierającego ich (konstytucyjnych demokratów) program, nie włączyli programu autonomii Królestwa. Więcej nam obiecywali demokraci niemieccy w 1848 r.; z tych obietnic — cóż wyszło?

Wyrazem rewolucyjnego nastroju Rosyi była pierwsza Duma, ale i ona nie podniosła sprawy autonomii Królestwa; wyrazem zwykłej Rosyi jest trzecia Duma, bezwarunkowo nam i wszystkim narodowościom nierosyjskim wroga.

Całe społeczeczeństwo rosyjskie jest Polsce wrogie. Żaden z pierwszorzędnych powieściopisarzy rosyjskich nie wystąpił nigdy w naszej obronie, nie stworzył nawet sympatycznego typu Polaka. Publicystyka i historya rosyjska wytworzyła ideologię ujarzmienia Polski, podnosząc na piedestał demokratyzmu działaczy rusyfikatorów Polski: Milutina i Czerkawskiego.

Poza Królestwem, między nami i Rosyą — leży i obciąża wzajemny rachunek Litwa i Ruś. Zapuściliśmy w tych prowincyach głębokie korzenie i żadne burze je stamtąd nie wyrwały, zapłodniliśmy je kulturą naszą, spoiliśmy się z niemi naszą krwią i krwią litewską we wspólnych szeregach w walce ze wspólnym wrogiem przelewaną. Rosya te kraje

uznaje za rdzennie rosyjskie i pragnie je jak najprędzej zrusyfikować i każde zarządzenie rusyfikacyjne, wypróbowane na Litwie i Rusi, przenosi do Królestwa.

Mówią Moskale, żebyśmy się zrzekli Litwy i Rusi. Cóż to znaczy? Państwo, gdy zrzeka się prowincyi jakiejś, wyprowadza z niej swe wojska i urzędy. My wojsk i urzędów na Litwie i Rusi nie mamy. Wyprowadzać się z tych ziem 2,000.000 Polaków, wyprzedać przeszło połowę ziem tego kraju, będących w. naszym ręku, jest niemożliwością. Wzmocniłoby to tylko apetyty rosyjskie i zapragnęliby, abyśmy toż samo dla miłej zgody uczynili w Królestwie Polskiem.

Między Polską a Rosyą nie może być ugody i zgody.

Jedyną zdobycz, jaką uzyskano w Królestwie na Rosyi, w okresie jej kryzysu państwowego, to to, że pozwolono nam za nasze własne pieniądze zakładać szkoły polskie prywatne. Dziś jednak te szkoły są gnębione, rząd zaprowadzić usiłuje w nich stopniowo język rosyjski, jako wykładowy.

Biurokracya rosyjska usadowiła się w zaborze rosyjskim; z samego Królestwa pobiera tytułem pensyi 25 mil. rb. rocznie. Dla niej sprawą żywotną jest zachowanie urzędów rosyjskich. Z urzędami rosyjskimi w kraju muszą być związane szkoły rosyjskie, upowszechniające język rosyjski, wychowujące dzieci rusyfikatorom Polski.

Rosya była i jest krajem centralistycznym. Pod tym względem przypomina Francyę. Francya zmieniała wielokrotnie w ciągu ostatnich 120 lat formę rządu i jest już trzecią republiką, była dwa razy imperyum, dwa razy królestwem, zmieniała dynastye, przepędzała panujących, a centralistycznem państwem pozostawała. Centralizm państwowy jest więc czemś bardzo stałym — z Rosyą zrósł się w szeregu wieków.

Autonomia Królestwa jest utopią. Ona też nie może być ideałem, godnym wielkiego, historycznego narodu. Cóż to za ideał narodowy, który nie pragnie równorzędnego stanowiska dla swego narodu, zgadza się na uzależnienie swego życia w podstawowych zasadach od układu stosunków politycznych innego narodu, którego władza zwierzchnia wyposażyć ma w pełnomocnictwa jego instytucye.

Nie autonomia Królestwa przy współistnieniu z Rosyą, ale oderwanie się od Rosyi musi być naszem zadaniem politycznem.

Rosya po wojnie japońskiej jest bezprzykładnie osłabioną. Wojna nie tylko ją osłabiła i zdezorganizowała, lecz wykazała jej ciężkie niedomagania.

Podczas mobilizacyi wojennej odbywała się masowa dezercya rezerwistów z Polski i Litwy. Na polu bitwy rezerwiści z rdzennej Rosyi okazali się bardzo lichymi żołnierzami. Po wojnie rozkładał armię rosyjską antagonizm między żołnierzami i oficerami. Wyżsi wojskowi wracali morzem, gdyż niebezpiecznie było generałowi, lub pułkownikowi wracać przez Syberyę pociągami, które wiozły żołnierzy. Antagonizm między żołnierzami i oficerami wzrósł następnie podczas dni rewolucyjnych.

(C. d. n.).

Dr. MICHAŁ JANIK.

O PIĘKNOŚĆ LWOWA.



tolica dzisiejszej Galicyi cieszy się dobrą sławą na ziemiach polskich. Sława to dobrze zasłużona. Piękne tradycye przeszłości i specyalny patryotyzm lokalny, który ma swoje uzasadnione podstawy, — wszystko to nadaje naszemu miastu odrębny, a sympatyczny charakter. Jeżeli do tego dodamy, że Lwów ma dzisiaj jedyny na ziemiach polskich sejm polski, niestety rzadko zbierany i niejedną bolesną uwagę nasuwający, że w pomnażaniu polskiego dobytku kulturalnego zajmuje wcale pokaźne i poczesne stanowisko, dobra sława Lwowa nie wyda się nikomu pustą przechwałką.

Ma jednak Lwów i wszelkie swoje braki, bo tak już jest na świecie, że nawet rzecz najdoskonalsza nie jest bez „ale.“ Przedewszystkiem mało dochowało się pamiątek po chlubnej przeszłości. Miasto zatraciło prawie całkowicie patynę historyczną, pod względem zewnętrznym zmodernizowało się za szybko, dla piękna swojego przeważnie niekorzystnie. Nie umiało nawet ocalić na najwyższym swoim punkie prześlicznej niegdyś sylwety starożytnego zamczyska, dźwignąwszy na tem miejscu piękny wprawdzie uczuciowo Kopiec Unii lubelskiej, który jednak równie dobrze mógł być usypanym na innej wyniosłości, jakich we Lwowie nie mało. Z jedynym prawie wyjątkiem charakterystycznej baszty, nic się nie zachowało z dawnych murów miejskich, a miejsca, przez nie opróżnionego, nie umiało spożytkować tak dobrze, jak to uczynił Kraków. Pod tym względem popełniono we Lwowie mnóstwo grzechów śmiertelnych.

Brakiem miasta jest także brak rzeki. Maleńka Pełtew, której wdzięki J. B. Zimorowicz, dawny burmistrz lwowski, rymami opisywał, dzisiaj zasklepiona i w kanał — oto los różnych piękności — zamieniona. Odsłonić ją na nowo, oczyścić, uregulować, osadzić drzewami, ozdobić mostami, — stało się podobno na zawsze niepodobieństwem. Zagrzebana żywcem — jest przecież dobroczynną. Jeżeli przechodzeń spotyka we Lwowie nieliczne szerokie ulice z bujną roślinnością, zasługa to Pełtwi, na której wyzyskujący każdą piędź ziemi Lwowianie niczego już na szczęście nie mogli wybudować. Dobra rzeczka i godna wielkiej wdzięczności.

Wobec braku ciekawszych budowli historycznych, wobec braku rzeki, — sądzićby można, że

zmodernizowani Lwowianie pobudowali po europejsku szerokie ulice, potworzyli przestronne parki i place publiczne w różnych częściach miasta, ażeby braki wynagrodzić i piękno utracone, lub nieposiadane innem pięknem zastąpić. Dodać należy, że pagórkowaty teren Lwowa nadawał się do tego w wysokim stopniu i pozwalał na zrobienie z naszego miasta prawdziwego cacka. Niestety — i w tym kierunku grzechy Lwowa są liczne, jako opadające liście w jesieni. Gdyby nie dobroczynna Pełtew, gdyby nie pomysł jednego z gubernatorów austryackich i—nareszcie— gdyby nie czysty przypadek z t. zw. ogrodem pojezuickim i placem św. Jura, Lwów byłby pozbawiony szerokich ulic i jakichkolwiek parków, byłby zatęchłą kupą cegieł i istnem na świecie dziwowiskiem. Miasto ma — prawda — dwa parki i kilka miejsc na podobne cele na peryferyi, ale brać ich nie można w rachubę o tyle, że wiążą się tylko luźnie z życiem miasta i jego wewnętrznym wyglądem. Inna rzecz, że założycielem tych parków należy się od mieszkańców Lwowa wdzięczność wiekuista. Ocalili bodaj cokolwiek dla piękna i zdrowia.

Miasto nasze rozrosło się na nowych terenach dopiero w ostatnich piętnastu latach. Skoro się tedy mówi o zaniedbaniach i niestaranności o piękność miasta, winowajców trzeba szukać w ostatnich latach. Ludzie niestarzy pamiętają jeszcze pustki na obszernych terenach między ul. Zieloną a ul. Dwernickiego, czyli t. zw. Snopkowskie, pamiętają to samo na ogromnych przestrzeniach od ul. Leona Sapiehy w stronę Kulparkowa i od Wólki aż po granice magazynów kolejowych, nareszcie to samo w wielkiej części dzielnicy Łyczakowskiej. Dzisiaj wszystko zabudowane, albo w budowie, a w jaki sposób, wiemy wszyscy, którzy na to patrzymy. Wszystko poprzerzynane wązkiemi uliczkami, z szeregami kamienic, bez światła i powietrza, w których rodzą się i więdną najmłodsze pokolenia. Oprócz pięknej i dobrze pomyślanej ulicy 29-go listopada same zaułki ciasne i pokręcone, obrzydliwie pogmatwany labirynt, bez jakiegokolwiek rozumnego planu, ot — jak spekulacya kazała, bez jakiegokolwiek placu, bez miejsca na ogródek, aby bodaj tu i ówdzie można przystanąć i zaczerpnąć powietrza, dać oku odpocząć.

Kto temu wszystkiemu zawinił. W pierwszym rzędzie spekulanci gruntowi, których piękno miasta i jego hygiena wcale nie obchodziły; dość, że zdobywali lichwiarskie zarobki. W równym jednak rzędzie trzeba pociągnąć do odpowiedzialności miejski urząd budowniczy, który nie miał dość siły, powagi, czy umiejętności, czy innych wreszcie potrzebnych przymiotów, ażeby do wandalizmu nie dopuścić, ażeby pamiętać o pięknie miasta i jego przyszłości, o zdrowiu jego mieszkańców. Obszerne te terytorya tak bowiem gruntownie i nieodwołalnie zostały zapaskudzone, że trzeba jakiej setki lat, ażeby zdjąć znowu z miasta tę straszną szpetotę, a jeśliby się chciało zło wcześniej naprawić, trzebaby na to bardzo wielu milionów, o czem i myśleć na seryo nie można. Widok tego, co już się stało, każe być sędzią surowym, troska zaś o to, co nastąpi w najbliższym czasie, jest w najwyższym stopniu uzasadnioną. Kto ciekawy, niechaj się przejdzie w okolicę kościoła św. Antoniego i zobaczy naprzeciw, obok

---

JULIUSZ KADEN.

NOC LISTOPADOWA

WYSPIAŃSKIEGO.



Nad dokonaną klęską, w odmęcie śmierci-goryczy woła Chór Poległych:

„Popłyniem polegli ku otchłani...“

I płyniem.

Czyż nie wali się wciąż do reszty, czyż ostatnim gruzem i miałem nie prószy budowa naszego życia?

Gdyby je zawrzeć w doraźnej definicyi, ścisnąć w kategorycznych przejawach rzeczywistości, gdyby mu odebrać to, czego nie wypowiada, co snuje w mrzonce, co osadem mrzonki rzuca na dno uczuć, — to cóż innego zostawi życie owo w żmudnym dorobku syntezy, jak nie — że wali się do reszty w gruz i miał, że pada na kamienny ugór beznadziei?

Trzy gady siadły na naszej grzędzie i pastwią się nad nią i plonem jej pasą się. Różnicą ucisku, większą, lub mniejszą presyą zaiste nie przystoi pocieszać się. Przeciw trzem cichym cnotom wiary, nadziei i miłości, mamy w życiu naszem trzy cierpkie zawody, trzy różne dole w potrójnej niewoli.

Wszelką wiarę odbiera nam, wyrywa wraz z życiem kałmuk rosyjski. Nadziei oduczyć nas stara się Niemiec, usuwający nam ziemię z pod nóg. Miłość opluł nam w r. 1846 Metternich i od tego czasu kupujemy sobie miłość za stokrotne podatki.

Albowiem polegliśmy i polegli płyniem ku otchłani.

Co zacz jesteśmy, że mówić to wolno nam bezpiecznie, choćby na jednym skrawku zatraconej w poniewierce ziemi, a nikt się nie lęka, co więcej, ufają nam, że na mowie, że tylko na mowie słowo poprzestanie?

Jesteśmy umarli.

Zostało tyle, ile użycza ciągłość przyrodniczego trwania. Że się ta śmierć w sobie nie zamyka, że się przenosi z pokolenia na pokolenie.

Zostało tyle, ile udaremniony wysiłek i z niego pochodna sława zła (Kery, z trupów krew pijące) wyrodzi. Że — „umarli słyszą“. Że świadomość udaremnionego wysiłku niesie się z warstwy narodu na warstwę.

Cóż to się nam po uszach snuje? Cóż to nam dzwoni aż dotąd jednym, niezmąconym poszumem śmiertelnego dzwonu?

Wytężmy słuchu pamięć skrupulatną. Z ust Kery, zmarnowanego wysiłku sławy złej, gdy się nad trupem Potockiego pochyliła, wraz z krwią ciekącą, wyciekło słowo (by je Czartoryski, niezdecydowany dyplomata, na wieki poniósł): Umarli.

Od wielu, wielu lat — choć mrozem to już zda się nikogo nie przyjmuje, choć przecie dość uszczypnąć się w rękę, by poczuć, że się jest, a przeto, że się żyje (kartezyanizm!) — noc nas grąży.

szkoły miejskiej, potworne budujące się kamieniczysko, włażące jakimi ośmiu metrami w ul. Łyczakowską, a stanie osłupiały, bo nie będzie mógł zrozumieć, kto mógł dać pozwolenie na coś, tak— innego wyrażenia użyć nie można — skandalicznego.

Czas zerwać z tym systemem. Rada miasta Lwowa, w której nie brak przecież miłości miasta i troski o jego dobre imię, powinna się obudzić ze szkodliwego snu, czy niedowidzenia, powinna dla ocalenia reszty piękności miasta położyć twardą rękę na interesach lichwiarskich spekulantów, zabrać się chociaż tak późno do energicznej pracy w obronie przyszłości miasta. Niech miasto polskie, dobrze zasłużone na tylu polach, okaże się i w tej dziedzinie dobrym gospodarzem i zarobi sobie na całkowicie dobre uznanie dalszej potomności. Ten też cel mają niniejsze, na prędce naszkicowane uwagi, które — pragnąłbym również — aby posłużyły za temat dyskusyjny dla niedawno zawiązanego Towarzystwa upiększenia miasta.

S. AUERBACH.

LISTY Z PARYŻA.

Szpiegokracya we Francyi. — Caillaux denuncyuje Clemenceau. — Briand wraca na scenę parlamentarno-polityczną. = Francuska partya socyalistyczna potępia taktykę Ogólnej Konfederacyi Pracy.— Rozłam z tego powodu w łonie francuskiej klasy robotniczej. — Szef policyi paryskiej, Lépine, kandydatem do Senatu.

W roku 1908, na skutek rewelacyi Burcewa, Jaurès interpelował ówczesny gabinet Clemenceau, zapytując, czy wiadomem jest rządowi, że w Paryżu, całkiem jawnie przed władzami francuskiemi, znajduje się i funkcyonuje rosyjskie biuro szpiclowskie, dostarczające wiadomości rządowi petersburskiemu i wprowadzające prowokatorów do łona osiadłych w Paryżu emigrantów rosyjskich; w dalszym ciągu interpelował Jaurès, czy sąd francuski przedsięwziął odpowiednie środki w celu wydalenia prowokatorów rosyjskich z granic Francyi i czy poczynił odpowiednie zarządzenia, aby żadna wogóle działalność prowokatorsko-szpiclowska nie miała miejsca w granicach Rzeczypospolitej.

— *C'est fait* — odpowiedział ówczesny prezes ministrów, Clemenceau, „Rząd Rzeczypospolitej — mówił ten „Flic I-er" — zarządził wydalenie podejrzanych osobistości, pochodzących z państwa rosyjskiego. Polityka rządu francuskiego jest przeciwna wszelkiej działalności prowokatorskiej".

Tak mówił p. Clemenceau w r. 1908. Ale cóż

Od wielu, wielu lat myśleć nie sposób, wątpić nie sposób, bo nawet wątpić niema w co. Od wielu lat zaufani. dworacy jaknajnędzniejszej jawy, jaknajtańszej codzienności, szczypiem się w ręce nieczynne, głodne, a gładkie i zniewieściałe. Tak, prawie tak, niewiele inaczej spędzamy nasze dnie. Bo nasz dzień przykrywają straszne cienie pewnej okrutnej, dziwnej nocy. Bośmy zgubili jawę naszego dnia. Bo nasz dzień jest marą dnia. Bo noc jest jawą naszych dni.

Nie myślmy, że Noc dni naszych odeszła i spełzła już. Jej dalsze cienie, jej nędzne ćmy, jej poszum lękliwy, gnuśny — to my, oni, ci i tamci, dzisiejsi, wczorajsi, jutrzejsi, — do któregoż w dal pokolenia, któż zaręczy?

W kieratach cudzych nasza praca, we wrogiej żołnierce nasza krew, na utrzymaniu niegodnem, niby ladacznica, nauka młodych pokoleń — oto strumienie mroku na tej jedynej niwie nocnej, niwie polskiej. Wszystko, cośmy dotąd sprawili od jakiejś cichej, zbożnej pracy, w zamknięciu i odosobnieniu aż do świetlistych dzieł gniewu, aż do wulkanicznych wybuchów polskiej lawy — krwi powstańczej, to wciąż jeszcze sen. Bo wciąż niespędzona słania się nad nami żałoba nocy.

Niema piędzi ziemi, niema chwili, niema stanu ducha, w którymbyśmy mieli prawo do radości. Łudzi się, kto myśli, że właśnie, choćby samo uświadomienie sobie tego mogłoby być powodem otuchy.

Lecz spróbujmy. Czyż, jako uświadomienie, a więc poznanie rzeczywistości, nie kryje w sobie ziaren nadziei, ziaren na lepszą przyszłość? Czyż, jako myślące opanowanie tego, co jest, choćby to była noc najstraszniejsza, nie jest dowodem rozumnej zgody umysłu z życiem, a przeto cennym dowodem Harmonii?

Gdzie jest zamknięte najwyższe polskie uświadomienie? W literaturze, w poezyi. w sztuce.

Cenny dowód Harmonii — to nasza sztuka!

I oto krąg niefrasobliwych pyszałków pociesznie chwyta się za ręce, chrząka, brząka i brzęczy rozgwarem tanich, obskuwanych słów. Skacze wokoło ognisk natchnienie, nad któremi płoną i skwarzą się w rozpaczach serca wieszczów. Maluczcy ofiarnicy drobnej otuchy i ciepłej sławy, gotowi chleb nastawiać pod serca krwią ciekące, gotowi wołać, co żywo: „Jakże smaczny jest chleb niewoli z czerniną cierpienia!"

Zaś Kera Wyspiańskiego oderwie się wówczas od trupów, pochopny taniec zakłóci i ustami krew lejącemi znów przypomni: Umarli słyszą.

W okowach trzymają nas oni: Póki słuchu umarłych nie przebodziemy zdawna wyglądaną przez nich wieścią swobody, póki nie rozerwiemy słuchu Umarłych szaloną nawałą wolności — w okowach niewyrównanej rachuby — umarłymi jesteśmy.

I oto widać, że wywrót naszych praw i swobód, naszej wiary, nadziei i miłości obalenie depce nam wszędy po piętach, grubszym od cieni tej Nocy, w noc życia towarzyszy daleko w głąb, aż do przewrotu wartości.

I oto sztuka, to nasze nieśmiertelne uświadomienie, pospołu ze wszystkiem, pożywa z drzewa krzywdy i rozpaczy. Nasi artyści, nasi mistrze, byśmy ich w kole życia polskiego, w kole łamiącem, w kole tortury, u szczytu wymogów dusznych

się okazało obecnie? Okazało się mianowicie to, że nietylko nie uczynił nic, aby ukrócić działalność paryskiego oddziału ochrany petersburskiej (Bourcew publikuje dzisiaj listę szpiclów rozmaitych narodowości, przeważnie Francuzów, zamieszkujących w Paryżu i innych miastach Francyi, a będących na służbie w policyi rosyjskiej), ale sam posługiwał się prowokatorami, którzy mu dostarczali wiadomości o ruchu rewolucyjnym francuskim!

Clemenceau do tego się przyznał.

A zmusił go do tego — Caillaux.

Okoliczności tego incydentu, który narobił głośnego hałasu w kuluarach Izb, są takie: Clemenceau (i Briand również) nie jest zadowolony z sukcesu marokkańskiego. A nie jest zadowolony dlatego, że Caillaux zajmuje miejsce, które powinien zajmować kto inny. Łatwo się domyśleć kim jest ów „inny". Jest nim Clemenceau. Od kilku miesięcy, do spółki z Briandem, świdrują oni deski obecnego gabinetu. Ale gabinet nie chce się rozwalić. Nastąpiła wreszcie chwila krytyczna. Anarchia w ministeryum spraw zagranicznych, „Liberté" i ustąpienie Niemcom Konga nie wróżyło nic dobrego gabinetowi Caillaux. Tembardziej, że na czele opozycyi tym razem stanął pan Jerzy, który już niejednego premiera strącił z fotelu prezydenckiego. Caillaux stchórzył nie na żarty.

Tymczasem zdarzyła się inna sprawa. Poseł socyalistyczny Lauche zawiadomił premiera, że będzie interpelować w sprawie Métiviera, prowokatora a b. sekretarza w Ogólnej Konfederacyi Pracy i w sprawie innego jeszcze szpicla. Skorzystał z tego Caillaux i „wygadał się" przed posłem socyalistycznym.

W ogłoszonym nazajutrz w *Humanité* interwiewie, który miał miejsce między deputowanym Lauche i Caillaux, ten ostatni oświadczył:

— ...Bądźmy, panie Lauche, szczerymi. Prosi pan, aby uwolnić z więzienia robotnika Julian, ależ w takim razie musiałbym zwolnić i drugiego robotnika, który również siedzi w więzieniu. Ale dlaczego pan za tego ostatniego nie prosisz? Ah, bo pan wiesz doskonale, że to — drugi Métivier, prowokator.

— Powiem panu nawet więcej: wymienię nazwisko. Jest to Ricordeau. Widzi pan; ja się prowokatorami nie posługuję... A niech pan wie jeszcze, że byli oni płatni bezpośrednio przez rząd, przez — ministeryum spraw wewnętrznych..." itd.

Całkiem zrozumiały jest hałas, jaki powstał po tem oświadczeniu Caillaux. Godziło ono bezpośrednio w Brianda i Clemenceau i miało na celu zdyskredytowanie ich w oczach opinii.

Briand poczynił cyniczne zeznania z trybuny parlamentarnej. Ten były anarchista miał odwagę zawołać, że nie widzi nic strasznego w tem, że władze posługują się raportami prowokatorów, i że solidaryzuje się się zupełnie ze swoim poprzednikiem, Clemenceau. Nadsekwańscy październikowcy, zdeprawowani radykali, przyjęli to oświadczenie hucznym oklaskiem.

Clemenceau zaś wystosował list do *Temps'a* i w liście tym pisze:

„Nie miałem zamiaru interweniować w polemice prasy á propos sprawy Métiviera, lecz po wczorajszych debatach w Izbie wydaje mi się koniecznem wyjaśnić sprawę w całej jej prostocie. (!!)

---

uznali, — wyrwać się muszą z tęczowej skorupy tego, co się na Zachodzie w przytulnię artyzmu składa. Tę skorupę przepalić muszą łzami pokuty za nie swoje grzechy, — rozłupać ją muszą pazurem zemsty, a dalej sięgać. Muszą się tężyć w straszliwe żary jasnowidzeń społecznych, w gorące posuchy narodowych pragnień; posięgać oczami zwidy słabą kołatawką wizyi — aż tam, tak daleko.

Taki jest naoczny dowód Harmonii.

Niżej normalnego stanu płynie życie. Myśl zaś, w boleści broczy ponad stan.

Poszukajmy naszych Mistrzów i Proroków jeszcze głębiej.

Jakże smutne znalezienie.

Ognia kwiat wielolistny, na łonie czarnej nocy kwitnący, — z kontyny, wrzeciądzami smutków zamkniętej, głos pozwów wielogłośnych — więzy święte, mięśnie najserdeczniejsze, co zdzierżyć pragną, końmi srogich najazdów rozrywaną całość Ciała, — to oni.

Ta noc daleka, ta jedyna noc Polski, wyczarować mająca niewidziane świty, — to płaszcz ich myśli. Niosą nam oni w fałdach płaszcza noże i szpady, niosą błyskawicowe wybłyski sprawy — do załatwienia.

Bo ciągle krwawi i nie zasklepia się, bo rana głęboka, jak przepaść, nie zrasta się i nie zamyka nawet, jeżeli już gnije.

Kto krzepkę stopą mierzył przełęcz bólu tej rany?

Dziwna rzecz, szalona rzecz...

Iść nocą, ze stopami w bezecnie zmarnowanej krwi utytłanemi.

Iść nocą, gdy innym prawdy jasne już kwitną, gdy innym spichlerze odwiecznej pracy do dalszej pracy łaskę szczodrzą. Iść nocą po tej przełęczy bólu, gdy ci drogę zabiegają cuda kultury, gdy cię za poły płaszcza rwą słodkie anioły zachodniej wiedzy i kuszą: Bądź dobrym — pogoda lśni, — bądź słonecznym — tam, za ścianą twojej niewoli pogoda kwitnie dawno już.

Ostatni mistrz tej przeraźliwej drogi-przełęczy, Wyspiański, zamknął uszy na ów kuszący szczebiot. Kamienną twarz okazał promiennolicym cudom. Z nikim z tamtego brzegu świateł nie dzielił, pożyczyć znikąd nie raczył, a raczej na osi własnego rozumienia postanowił: Z tej Nocy — światło uczynię.

Noc i on. On zmaga się z nią. Albo legnie, albo światło zdobędzie. Gdyż nie paktuje.

Straszny on jest, sięga pamięcią daleko w przeszłość, aż po Salaminę i Maraton. Pamięta — więc doświadczony. Doświadczony — a nieprzezorny?

Albowiem inna obowiązuje przezorność w doli polskiej. Bo inne tu są wagi skrupułów.

Tu siły niech tylko będą wszystkie, jakie tylko chcą, miotające, kruszące, z pod Salaminy, Maratonu, Termopil, krwawym meandrem walk biegnące z Południa ku Północy i ze Wschodu na Zachód. Niech się zjawi nawet ta, co wiodła boży bicz, Atyllę.

Wszystkie zwołuje tu Pallas.

Nad krwią ani jednej trwogi, nad krwią ani krzty zadumy. Pallas nie zna Chrystusa — „szał ma być adresowy". (C. d. n).

„Métivier*) zwrócił się do mnie listownie, prosząc o audyencyę. Odmówiłem mu. Zwrócił się drugi raz i nastawał. Przyjąłem go. Oświadczył mi, że okoliczności postawiły go w takim stanie ducha, że gotów jest mi dostarczać informacyi. Odparłem wówczas, że winien zwrócić się do naczelnika policyi śledczej, p. Hennion; ten znajdował się w przyległym pokoju, dokąd też skierowałem Métiviera. Nazajutrz zakomunikował mi p. Hennion, że wręczył Métivierowi 300 franków. Później dostarczał on rozmaitych informacyi i za każdym razem dostawał odpowiednie sumy pieniędzy. Stałej miesięcznej pensyi nie pobierał. Służba jego w policyi była bardzo nieregularna. Od czasu do czasu przysyłał on osobę, z którą był w bardzo blizkich stosunkach. Oto wszystko, co wiem o sprawie Métiviera. Jerzy Clemenceau".

Bez komentarzy i złudzeń! Kto wątpił, czy rząd Rzeczypospolitej „demokratycznej" korzystał z usług prowokatorów, czy nie, tego list byłego premiera rozbroi. List ten jest strasznym i potwornym zarazem dokumentem do jakiego spodlenia moralnego doszli tacy rządcy „republikańscy", jak Clemenceau, lub Briand, lub Caillaux. Winienem jeszcze zaznaczyć, że Métivier nietylko podłożył bombę, ale rozśrubowywał szyny na kolejach żelaznych, o co oskarżano strejkujących kolejarzy, wywoływał zaburzenia w kampanii, podczas pewnej manifestacyi sprowokował wojsko do strzelania i wtenczas padło około 300 zabitych i 800 ranionych... i za to otrzymywał pieniądze od p. Clemenceau!

Caillaux dopiął swego: agitacya, zdążająca do obalenia go, na czele której stał Clemenceau, obecnie znakomicie osłabła i jakoś nie słychać o krytycznem stanowisku rządu. Ale myliłby się, ktokolwiekby sądził, że pozycya Baillaux jest zbyt mocna. Gabinet ten upadnie pod ciężarem skandalów, których nabrała się taka góra i które zdradzają tak okropną woń oszustw, szachrajstw, łupiestw, anarchii, przekupstwa, że ten stan rzeczy dłużej trwać nie będzie.

Gabinet utrzymuje się jeszcze wyłącznie dzięki terorowi rządowemu. Większość parlamentarna, składająca się przeważnie z akcyonaryuszy rozmaitych przedsiębiorstw przemysłowych i wogóle kapitalistycznych, zadowolona jest bardzo z polityki represyjnej względem klasy robotniczej, którą dzisiaj duszą we Francyi nie mniej, niż w Rosyi. Same partye robotnicze ułatwiają zresztą rządowi jego politykę antyproletaryacką. Nigdy może niesnaski, rozdwojenie i kłótnie nie doszły do tak godnego ubolewania stopnia, jak dzisiaj. Syndykaliści zarzucają socyalistom, że jedynym ich ideałem, to „Piętnaście tysięcy" (pensya poselska). Utonęli w polityce i zaprzepaścili interesy robotnicze. Z trybuny parlamentarnej — mówią syndykaliści — nie słychać ani jednej mowy rewolucyjnej. Polityka socyalistycznych parlamentarzystów raczej demoralizuje klasę robotniczą, niż przynosi jej cokolwiek konkretnego i pozytywnego.

Zarzuty te są po części słuszne i po części niesłuszne. Niesłuszne, bo 71 posłów socyalistycznych w obecnym składzie Izby są bezsilni wobec olbrzymiego centrum rządowego, składającego się z 400 głosów i postępującego — za nielicznemi szlachetnemi wyjątkami — zawsze solidarnie. Są słuszne, bo frakcya socyalistyczna nie wyzyskuje trybuny parlamentarnej w sposób należyty. Interpelacye socyalistyczne nie są odpowiednio dokumentowane i często frakcya przechodzi do porządku dziennego nad najbardziej monstrualnymi gwałtami rządu.

Z drugiej strony socyaliści zarzucają syndykalistom, że akcya ich prowokuje tylko terror rządowy. Sabotaż daje doskonały pretekst p. Caillaux, który się wciąż nań powołuje przy uzasadnianiu swojej polityki represyjnej. W tych dniach dwaj deputowani socyalistyczni, Guésquière i Compère-Morel, wystąpili z gwałtowną mową w parlamencie — przeciw C. G. T.-istom (Ogólnej Konfederacyi pracy). Zaznaczyć należy, że filipika tych dwóch posłów była całkiem *mal á propos* i nie miała żadnych podstaw. To też sprawiła nadzwyczaj przygnębiające wrażenie wśród klasy robotniczej. Natomiast wywołała ogromną radość w obozie reakcyi, który nie szczędzi pochwał tym dwom „jedynie konsekwentnym deputowanym socyalistycznym, którzy zrozumieją wkrótce i zgodzą się, „że Ogólną Konfederacyę Pracy należy — rozwiązać!!" Sytuacyę pośpieszył ratować Jaurès, który napisał bardzo ładny artykuł p. t. Socyalizm i Syndykalizm. Broni on syndykalizmu, jako strażnicy ekonomicznej ludu pracującego i pokłada w nim dużo nadziei pod względem organizacyjnym. Jaurès zaznacza, że ruch syndykalny byłby bez znaczenia, gdyby się nie odznaczał o d w a g ą. Dzięki niej wyłącznie, dzięki akcyi metodycznej i ś m i a ł e j, udaje się wyrwać z paszczy kapitalistycznej powiększenie pracy etc. Ruch syndykalny, gdyby mu brakło śmiałości, odwagi, energii, stanowczości, wegetowałby w jałowym marazmie, jak tyle innych organizacyi anemicznych. Wystąpienie Jaurèsa zatarło nieco smutne wrażenie, jakie pozostało po mowie dwóch jego towarzyszy.

Niemniej, zamykając rok obecny w życiu francuskiej klasy robotniczej, należy stwierdzić, że był on najniepomyślniejszym: niesnaski wewnątrz i despotya z zewnątrz. I rok przyszły nie obiecuje być lepszym. Reakcya tryumfuje na całej linii. Jeśli nawet Caillaux upadnie, to zastąpi go kto inny, który kontynuować będzie dalej jego politykę: politykę represyi i gwałtów. Wątpić należy, czy dzisiejsi „radykali", po których została tylko nazwa, zdolni są przeprowadzić reformy istotnie demokratyczne i lojalne. Anarchia, degeneracya fizyczna i chęć zbogacenia się za wszelką cenę — oto, co cechuje większą część społeczeństwa francuskiego dzisiejszej epoki.

Na zakończenie powiedzmy jeszcze kilka słów o tem, co jest gwoździem dnia: kandydatura Lépine'a do Senatu! Miałem sposobność nieraz malować dla czytelników *Życia* portret biograficzny tego sadysty i satrapy. Niema we Francyi może bardziej znienawidzonego „męża stanu" — tak, niestety, za takiego uchodzi Lépine! — od prefekta policyi paryskiej. Trzeba przytem wiedzieć, że posiada on władzę istotnie nieograniczoną. Podobno, że Caillaux chce się go pozbyć i czeka tylko, aby Lépine podał się do dymisyi, która zostanie natychmiast zaakceptowaną. W tym właśnie celu debatowała rada ministrów. Powzięła ona uchwałę, że jeśli ktokolwiek z urzędników państwowych zostanie wybranym do Senatu, lub parlamentu, to tem samem przestaje

*) Przypominam, że jest to b. sekretarz Ogólnej Konfederacyi Pracy, który wstąpił do policyi francuskiej, jako prowokator. Zdemaskowali go przed kilku miesiącami członkowie redakcyi *Guerre sociale*. Métivier podłożył bombę pod drzwi red. *Patrie*, za co prześladowano syndykalistów etc.

pełnić poprzednią funkcyę. Najkapitalniejszem jednak jest to, że Lépine w swem *profession de foi,* przesłanem do wyborców, jako motto napisał: *La France est mal gouvernée.* Uważa on, że Republika jest kiepsko rządzona. Więc przedewszystkiem chce zaprowadzić reformy administracyjne, reformy oparte na jego 35-letniem doświadczeniu. Dopiero potem chce zaprowadzić reformy socyalne. Głównie jednak zależy mu na Związku republikańskim i zgodzie wszystkich republikanów. Socyalistów trzeba wyrzucić poza nawias społeczeństwa; klerykałów również trzeba wyłączyć z tego Związku, a dopiero potem będzie można zaprowadzić ład w kiepsko rządzonej obecnie Republice. Takiem jest *profession de foi* prefekta policyi. Nie przypadło ono wszystkim do gustu, bo prócz niego do wyborów senatorskich stają jeszcze inni kandydaci. Szanse Lépina są nawet nietęgie. Mimo to Paryż ogromnie interesuje się jego kandydaturą, bo pragnąłby, nawet kosztem mandatu senatorskiego, pozbyć się go przedewszystkiem z prefektury policyi. Ale Ludwik Mały oświadczył dziennikarzowi *Temps'a*, że czynność prefekta zatrzyma *„quand meme"*.

Nie od rzeczy będzie na tem miejscu zaznaczyć, że senat nie posiada dzisiaj żadnego znaczenia w życiu Rzeczypospolitej. Wszelka żywotna działalność tam umarła. Miałem sposobność rozmawiać w parlamencie z b. ministrem marynarki, Kamilem Pelletanem. On jeden jeszcze (z pośród radykałów) dźwiga prestiż Francyi, w nim jednym jeszcze tli zarzewie szlachetnego buntu przeciw bezprawiu i gwałtom ostatnich trzech gabinetów. Pelletan również jest kandydatem do senatu. Korzystając z tego, życzyłem mu zwycięstwa podczas wyborów. Ale odparł smutnie: *ce senat est mort.* Istotnie, senat jest martwą placówką, jałowym ugorem, na którym nie wyrośnie kwiat życia, który nie wyda owocu soczystego. Pola do pracy, do ścierania poglądów, do pożądanych inowacyi tam niema. Proponowano Briandowi kandydaturę do senatu. Lecz on ją nie zaakceptował, oświadczając lakonicznie: „Moje miejsce jest w parlamencie. W senacie byłbym skazany na bezczynność, czego wcale nie pragnę". Oczywiście dla takich temperamentów, jak Briand to tylko — teka prezydencka.



M. DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGII.

Czcigodnemu Panu K...

Bruksela 1 grudnia.

Zakończono debaty militarne. Z nich, pomimo śmiesznego zwycięstwa operetkowego generała Hellebaut, wyjrzała naga prawda: Belgia, w owe miesiące powszechnego oczekiwania wojny europejskiej, była bez fortec, bez armat, bez amunicyi, bez koni i bez prowiantów; kraj, prześlicznie zagospodarowany w przemyśle i handlu, leżał u nóg Kaizera, Anglii i Francyi. Bezkarnie wojska cudzoziemskie mogły tu, na tej „neutralnej" ziemi, porachunki swe załatwić.

W okresie ostatnich dwóch lat Belgia przeszła ciekawą ewolucyę militarną. Wykup od służby wojskowej zniesiono, armia, z klasowej, stała się nieomal narodową. Socyalista Vandervelde, przewodniczący międzynarodowych kongresów w Stutgarcie i Kopenhadze, po wypadkach lipcowych, sierpniowych i wrześniowych, miast dotychczasowej armii „narodowej", żąda powszechnego uzbrojenia, na wzór Szwajcaryi. Boć różnica jest głęboka i zasadnicza między zaborczym militaryzmem rządów i obronnem uzbrojeniem ludów.

L'armée nationale może wydać Bazin'a, Mac-Mahon'a i Galifeta. *Nation armée* przybliży tryumf sprawiedliwości...

Kiedy z dnia na dzień oczekiwano wkroczenia dwóch korpusów Kaizera do Belgii, wybuchł na granicach pożar lasów. Płomienna kurtyna zakryła scenę, na której Kaizer już się gotował do roli Boga Wojny.

Oddziałek *boys-scoots'*ów, z Namur i Verviers, ówcześnie obozem stojący w miejscowości, pożarem objętej, ruszył śmiało na pomoc saperom, zajętym przy tłumieniu kilka dni trwającego pożaru lasów.

Oddziałek ten otrzymał najwyższe podziękowanie króla i ministra...

Polscy harcerze, kiedyż i wy otrzymacie najwyższe podziękowanie rządu rewolucyjnego... ale za wzniecenie pożaru w Polsce!

* * *

Wywija dziś po Warszawie p. Nowaczyński „mieczykiem kawiarnianym w obronie pamięci oświeconego dozorcy więzienia narodowego.

„Dzieje się u nas niepowetowana, straszna, o pomstę wołająca krzywda i nadal jeszcze, jeszcze nadal, w tyle lat po wszystkiem, w pół wieku po śmierci, krzywda Człowiekowi, którego cały żywot na arenie publicznej był już najwyrafinowańszą Gehenną, którego ukamienowano błotem kilkakrotnie jeszcze za życia, na którego Ossę i Pelion oskarżeń za wszystkie nieszczęścia Ojczyzny zwalili ci właśnie, którzy swym samurajskim samobójczym szałem, dziecięco-optymistyczną hypnozą głębszy nam grób wykopali od wszystkich targowickich łopat razem wziętych".

O, panie Staro-Czyński! „Łatwo takie zdanie napisać, ale strasznie takie zdanie przeczytać" tym, co Gehennę Styczniową przeżyli.

Niedawno widziałem się w Brukseli z jednym z nich...

„Adorowałem" go publicznie, do kolan się schylając, do ręki ucałowania chcąc przystąpić, do ręki, co „nam głębszy grób wykopała od wszystkich targowickich łopat razem wziętych". Oh, panie Staro-

Czyński! Lepiejby ci było w dalszym ciągu spieniężać tajemnice alkowy arystokratów polskich, niż w roli nowej, moralizatora, magistra *vitae* narodowej wystąpić.

Ty — sowizdrzał, w ostatecznym razie stańczyk margrabiego — i moralne wskazania dla narodu całego. — *C'est trop* nawet u nas, „w kraju — *passons le mot* — iberyjskich Negrów“. W kraju, który ty cywilizujesz na wzór kulturträgerów afrykańskich, wódką i syfilisem politycznym.

A czyś ty się zastanowił, przezacny „historyku“, nad tem, że „przeciętny Polak“ w zaborach moskiewskim i pruskim kultury historycznej nabrać nie mógł, bo za kilka słów, w języku ojczystym wyrzeczonych, na zawsze ze szkół wydalany bywał i bywa.

„Spotwarzaliście Margrabiego przez lat 50! Najwyższy czas, abyście sami odwalili głaz przemilczenia z Łazarzowego grobu tego najtragiczniejszego w Polsce Męża Czynu, którego widmo unosi się nad narodem nie „posępne i przykre“, ale czyste, jasne i przebaczające wam bez skargi, bez wyrzutu, bez słowa“.

Tak pisze radykalny publicysta w 50-letnią rocznicę śmierci... Joachima Lelewela, którego imienia nawet przez ćwierć wieku w Polsce wymawiać nie było wolno.

* * *

Na obchodzie II-giej rocznicy rewolucyi krakowskiej, tu, w stolicy wolnych Belgów, tak przemawiał o Lelewelu przedstawiciel „trzeźwej społeczności“ niemieckiej, Fryderyk Engels:

„... W łonie tej rewolucyi konserwatywnej (1830—1 roku), w łonie samego rządu narodowego nawet, był człowiek, który zwalczał energicznie ciasne horyzonty klasy posiadającej. Proponował człowiek ten reformy, zaiste na wskroś rewolucyjne i przed ich niezwykłą śmiałością truchlała arystokracya sejmowa. Wzywając do broni całą Polskę historyczną, czyniąc z wojny o Niepodległość Polski, wojnę europejską, wyzwalając żydów i chłopów, tym ostatnim nadając ziemię, odbudowując Polskę, na zasadach demokracyi i równości, uczynić chciał sprawę narodową sprawą wolności, utożsamić chciał interesy wszystkich ludów z interesami ludu polskiego“ *).

I na tymże obchodzie mówił drugi przedstawiciel „trzeźwej społeczności“, twórca materyalizmu historycznego, K. Marx:

„I jeśli rewolucya krakowska (1846 r.) zduszona została knwawemi łapami najętych zbirów, to wypłynęła ona w chwale i w tryumfie w Szwajcaryi i we Włoszech. Znajdziemy jej zasady w Irlandyi, gdzie partya ściśle nacyonalistyczna zeszła do grobu wraz z O'Connelle'm i nowa partya narodowa przedewszystkiem jest partyą reform i partyą demokracyi. Polska pierwsza powzięła tę inicyatywę, nie Polska feudalna, lecz Polska demokratyczna. Od tej chwili oswobodzenie Polski stało się punktem honoru dla wszystkich demokratów Europy“.

* * *

Smutno i szaro, w 81-ą rocznicę Nocy Listopadowej.

„Umarli słyszą!“

Waleryan Łukasiński slyszy. Chłopicki słyszy.

Armée prusse, russe, autrichienne, pod wodzą nowego Chłopickiego, czy *Nation armée,* pod komendą spiskowców, ożywionych zasadami wiary Łukasińskiego.

Oto polskie zagadnienie, które spiesznie rozwiązać trzeba, bo czas idzie, czas idzie...

---

*) *Celebration à Bruxelles du deuxième anniversaire de la Révolution Polonaise du 22 fevrier 1846. Discours prononcés par MM. A. J. Senault, K. Marx, Fr. Engels, J. Lelewel, L. Lubliner, avocat. Bruxelles 1848. C. G. Vogler, Libraire Editeur.*



JAN KLECZYŃSKI. 24)

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

— I to jeszcze trzeba panu tłómaczyć? — zawołała z pogardliwem zdziwieniem Marta. — To pan nie wie, co to jest budzenie ludzi, co to wyrabianie samodzielności mas, odwagi wolnego życia zbiorowego, takiego życia, jakie się każdemu należy? Tylko niewolnik tego nie może zrozumieć. A jaki to wspaniały środek agitacyjny...

— „Nie mów tak do tego durnia!“ — omal nie krzyknął Marcie Julek. „Nie profanuj tych uczuć“!

— Ee — to wszystko są bajecki dla grzecznych dzieci! Paniusia daruje, ale to wszystko pachnie studenteryą, to społecznikostwo chodzące w krótkich spodeńkach!

— Dla pana i Marx, i Lassalle, i Kunicki, i Engels, i Bebel powinni byli jeszcze chodzić do szkoły profesora Bolesława Wapowicza? A do której klasy? Może do tej, której pan profesor Wapowicz nie mógł skończyć? Nie? No, to nie.

— A! jak gorąco kąpano paniusię w tych ideach! Niechże paniusia przynajmniej nie broni tej demonstracyi majowej. Smarkacze, studenciki niech sobie tam łamią karki, ale pani, poważna kobieta, co pani ma wspólnego z tymi ulicznymi politykami, z tymi gołowąsami, co nie pilnują książek i udają bohaterów. To są próżniaki, krzykacze, którymbym...

Wapowicz nie dokończył. Naprzeciw niego wstawał z krzesła Julek i, przechylony nad stołem, patrzał na niego strasznym wzrokiem, bez kropli krwi w twarzy. Julek ściskał w ręku nóż, który uwiązł w jabłku, leżącem na talerzu. Drżała w nim rozkoszna myśl, żeby wbić Wapowiczowi ten nóż w samą twarz, ale, rzecz szczególna, ciężar jabłka, które czuł na nożu, wstrzymywał jego wolę. Przed nim stał lepszy pocisk — ciężka karafka z wodą — błyskawicznie sięgnął po nią, z brzękiem cisnąwszy

nóż na talerz — i nagle opamiętał się — spojrzał wpół przytomnie po obecnych i szybko wyszedł na werandę, odsuwając z hałasem krzesło!

Tam oparł się o balustradę i dyszał ciężko. Ćmiło mu się w oczach. Kijem go obije. Niech tylko kolacya się skończy. Trzaśnie go w pysk. To lepiej. Z całej siły go trzaśnie. Klaśnie, jak wystrzał. Uspokoił się trochę na tę myśl.

Otaczała go zupełna cisza i ciemność, którą przerywał tylko szeroki pas światła, idący przez wpół otwarte drzwi jadalni. Tem głośniej i huczał, i dźwięczał mu uszach niedawny gwar zmieszanych głosów i ohydne, obrażające słowa Wapowicza, które bolały go do obłędu i zalewały głowę krwawym ukropem, jakby przeraźliwego strachu i wściekłości.

Ta cisza zastanowiła go w końcu. Widocznie w jadalni wszyscy oniemieli po tem, co się stało.

Po pewnym czasie Julek usłyszał, że krzesło jakieś odsuwa się i wolno ktoś idzie ku werandzie. Gdy ten ktoś znalazł się w jasno oświetlonych drzwiach, Julek odrazu poznał Wapowicza, ale nie mógł pojąć, że to on.

— Jest mi niewymownie przykro, panie Bielski, mówił szybko Wapowicz, jeszcze ciszej i bardziej nerwowo, niż zwykle — że ja użyłem w dyspucie takich zwrotów, które..., ja bardzo przepraszam pana, doprawdy nie miałem zamiaru pana dotnąć. Chodziło mi tylko o to, żeby przekonać panią Borczyńską — mówiłem tak, jak to się mówi w dyspucie, używając najostrzejszych wyrażeń i ani mi przeszło przez głowę, żeby pana czemkolwiek obrazić — słowo honoru daję, że wszelkie szczere przekonania cenię wysoko, może nawet zazdroszczę młodym, którzy umieją czuć tak gorąco — słowo honoru panie Bielski, ja sam nawet kiedyś myślałem inaczej i, doprawdy, panie Bielski, sądzę, że pan nie będzie pamiętał tego naszego... mojego... zapomnienia się — no — zgoda?

I wyciągnął do Julka rękę.

Kiedy Wapowicz zaczął mówić, Julek jeszcze miał czas jakiś wrażenie sennego widzenia. Zrozumiawszy wreszcie, że to on, Wapowicz, krwią i ciałem, przed nim stoi, Julek zlodowaciał, nogi mu wrosły w ziemię. Zatamowały mu oddech dławiące fale mdłości. Żeby nie patrzeć mu w twarz, wpił oczy w jego pierś, w gardło i czuł, że ręce wydzierają mu się do tego, by to gardło zacisnąć z całej mocy i machnąć tem ścierwem o ziemię.

Wapowicz skończył i stał z wyciągniętą ręką. Julek nie zaraz zrozumiał, co tamten mówi Usta miał pełne śliny, której zbierało mu się coraz więcej. Czuł, że trzeba coś zrobić natychmiast, ale do jego ręki przylgnęły stofuntowe ciężary wstrętu. Wolno, z wysiłkiem, sztywniejąc coraz bardziej, podniósł dłoń — i dopiero gdy ta dotknęła dłoni Wapowicza, błysnęła mu w głowie myśl, że wszystko już minęło!

— Dobrze — wymamrotal niewyraźnie — i naraz uczuł ogromną ulgę. — „Jeszcze by trzeba coś powiedzieć“ — myślał z trudnością.

— I ja również byłem zbyt porywczy — dodał po chwili prawie już zupełnie spokojny, aż go to zdziwiło; ale więcej nic z siebie nie wydobył, choć przez chwilę zastanowił się, czy nie powtórzyć za Wapowiczem: „Zgoda“. Wapowicz nawet jakby oczekiwał czegoś więcej, ale Julek rzekł swobodnie:

— No to wracajmy, bo tam pomyślą, że się Bóg wie co stało.

Czuł, że to nie było bardzo uprzejme, ale nie potrafił się przemódz i wcale się tem nie martwił.

Gdy weszli, już wstawano od stołu. Julek spotkał zaciekawiony i niespokojny wzrok Czesławy i uśmiechnął się nieznacznie.

* * *

Towarzystwo rozsypało się po cienistym parku. Noc była ciemna i chłodna. Pomiędzy drzewami lśniły gwiazdy. Pachniała wilgotna ziemia, pachniały świerki, chwilami zawiała zkądciś woń róż wrześniowych.

Mara szła pod rękę z Czesławą. Rozmawiały poufnie, półgłosem, ale nie przerwały zwierzeń, gdy zbliżył się do nich Julek. Czesława opowiadała Marze o tem, co Julek jej mówił o wczorajszem zebraniu. Mara słuchała w milczeniu, przerywała jej tylko czasem niespokojnemi pytaniami.

— No i co — No i co?

O muzyku Czesława mówiła głośniej, dobitniej, wolniej, prawie uroczyście, zapytując czasem Julka, który starał się sobie przypomnieć, każde jego słowo. Mara już nie pytała o nic i niewiadomo było w ciemności, jakie to na niej czyniło wrażenie. Julek dziwił się, czemu Czesława jej to opowiada, ale ta musiała mieć po temu jakieś ważne powody, bo zbyt wyraźnie i szeroko rozwodziła się nad muzykiem.

Więc Julek rzekł, zwracając się do Czesławy.

— Jeszcze był pewien epizod, o którym pani nie opowiedziałem.

— Jaki?

Julek w krótkich słowach ogólnikowo opisał scenę pomiędzy muzykiem, a tym drugim, nieznanym, zamilczając o ostrzejszych wyrażeniach i złagodziwszy ton tej dziwnej rozmowy o trzy czwarte.

— I nic więcej? — zapytała Mara drwiąco, gdy Julek skończył. Pan musiał coś opuścić!

— Tak, może trochę, nie pamiętam.

— Nie trochę, nie trochę, znam go przecież! — rzekła Mara jeszcze zjadliwiej i umilkła, tak, że nie dowiedziano się nigdy, o którym z nich w tej chwili myślała.

Długo szli w zupełnem milczeniu. Wiatr szumiał po starych lipach, nadciągały chmury.

— Niema szczęścia na świecie! — rzekła nagle Mara tak prosto i smutnie, że Julek zadrżał.

Wkrótce potem wrócono do domu i Mara kazała zaprzęgać do swojej bryczki.

Gdy konie zajechały, zbliżył się do Mary Wapowicz.

— Może odprowadzić panią? — zapytał pokornie!

— Nie! — rzuciła szorstko.

Pozwoliła tylko, żeby ją kawałek odwieźli: Czesława, Julek i Tecia, ale już o wiorstę kazała im wysiąść, rzekłszy na pożegnanie:

— Przyjdziecie do mnie jutro?

— Naturalnie, kiedy zechcesz.

— I pan przyjdzie do mnie z Cześką — dobrze? zwróciła się do Julka.

— Dobrze — odparł miękko Julek, całując ze czcią jej rękę. — „Z Cześką“ powtórzył w myśli, czując, jak to imię i to połączenie ich razem pieści mu serce.

Wracając, dowiedział się od Czesławy, że męża Mary, Andrzeja Borczyńskiego, wzięto do cytadeli w trzy miesiące po ślubie. Siedział już blizko rok. Mara odwiedzała go w Warszawie, o ile jej na to pozwalano i wracała coraz smutniejsza i coraz bardziej zdenerwowana. Kiedy i czy go wypuszczą, o tem nikt jeszcze nie wiedział. Mogło to być za rok, za dzień — może nigdy...

Z partyą stykała się rzadko. Śledzono ją zbyt zawzięcie.

* * *

MICHAŁ PANKIEWICZ.

LISTY Z PARANY.

II.

Wybory w Brazylii znacznie się różnią od wyborów w Europie, przedewszystkiem niema tutaj walki wyborczej. Stronnictwo rządowe ma z góry zagwarantowane zwycięstwo. Opozycya zaś przy najodpowiedniejszych dla niej warunkach na żaden czyn pozytywny zdobyć się nie może, gdyż nie jest opozycyą zasad, lecz zwykle kliką skrzywdzonych, lub uważających się za takowych, przy podziale miejsc przy korycie państwowym. Dla innej opozycyi niema jeszcze miejsca w Brazylii. Pierwotne stosunki ekonomiczne nie zdołały wytworzyć silnych przeciwieństw klasowych, a nizki stopień kultury mieszkańców przy idealnej swobodzie politycznej uniemożliwia powstanie partyi szczerze opozycyjnej o szerszych horyzontach.

Zjazd partyi rządowej na kilka miesięcy przed wyborami mianuje — jedyne wyrażenie odpowiadające faktycznemu stanowi rzeczy—kandydatów, a ci następnie są wybierani przez ludność. W tym roku partya rządząca w Paranie wyraziła chęć wystawienia do sejmu stanowego paru kandydatur polskich. Przedsionki Brazylian zaroiły się wnet od kandydatów polskich, których się okazało zgóry pół tuzina. Szczególną gorliwość w obijaniu progów pańskich wykazał t. z. „Związek Narodowy Polski w Brazylii.“ Dzięki nadzwyczajnej obfitości panów kandydatów upadła kandydatura dra Szymona Kossobudzkiego, jedynego człowieka, posiadającego odpowiednie kwalifikacye na posła i intellektualne, i społeczne.

Partya rządowa wolała bowiem mianować posłem człowieka bliżej z nią związanego, mianowicie p. Edmunda Saporskiego. P. E. Saporski jest pierwszym Polakiem w Paranie. Przyczynił się znacznie do skierowania do Parany pierwszego prądu emigracyjnego polskiego z Górnego Śląska w latach 1870—80. Godną zwłaszcza uwagi jest pomoc, jaką okazał pierwszym polskim osadnikom, którzy w r. 1870 założyli kolonię Pilarzinkę. Osadnicy ci trafili z początku do Santa-Kataryny, porzucili ją jednak i, przedarłszy się przez dziewicze puszcze i góry, przybyli do Kurytyby. Skutkiem zmiany życzliwego Polakom prezydenta nie otrzymali obiecanych działów ziemi i zostali odesłani do Saporskiego, który przez pewien czas żywił ich własnym kosztem. Osobiście jest to człowiek bez skazy, znany w całej Paranie ze swej uczciwości i dobroci. Będąc ostatnio dyrektorem na kolonii Vera-Guarany, pomimo pobieranej znacznej pensyi, często nie miał czem się przykryć, ponieważ porozdawał wszystko potrzebującym i nie potrzebującym.

Rzecznikiem jednak interesów polskich w sejmie nie będzie. Jest człowiekiem starym, schorowanym i, co najważniejsza, mianowanym przez rząd. Sporo jeszcze wody upłynie, nim posłowie polscy zasiądą w parlamencie z woli ludu, albowiem zbyt długo misyonarze, werbiści i inni księża byli jedynymi siewcami oświaty w Paranie, zbyt długo odgradzali kolonistów polskich chińskim murem od życia politycznego i zbyt mało przyjeżdża intelligencyi polskiej, chcącej wejść w bliższe stosunki z rzeszą kolonistów.

W każdym razie uznanie potrzeby posła Polaka przez sfery rządowe jest jednym dowodem więcej ciągłego wzrostu żywiołu polskiego, wzrostu dalekiego jeszcze od swego punktu kulminacyjnego. Jednocześnie z wyborami, uwagę Polonii tutejszej pochłaniał ostatniemi czasy t. z. „Związek.“

Narodzenie jego — miało ono miejsce przed rokiem — odbyło się w sposób niezwykły. Piorunowe artykuły w „Gazecie Polskiej“ o powstaniach, buntach, walkach i 100 letnim krwi przelewaniu zapowiadały powstanie związku, który miał uratować Polskę, czy stworzyć raj ziemski w Paranie. Na t. z. Sejm związkowy zjawiła się pewna ilość osobistych przyjaciół niemieckich księży werbistów i p. Grossa, redaktora „Gazety Polskiej“, ogłosiła się za delegatów kolonii i założyła Tow. p. n. „Związek Narodowy Polski w Brazylii“, które w § 6. art. II-go swej ustawy powiada, iż, jako powstałe z woli ludu polskiego, w imieniu ludu tegoż działać będzie.

W imieniu ludu polskiego mieli działać księża z germanizatorskiego zakonu „Verbum Divinum“, popieranego na każdym kroku przez rząd pruski, którzy, dla łatwiejszego zdobycia zaufania ludu polskiego, pozmieniali niemieckie nazwiska na polskie: np. ks. Otto Kahlen na Stanisława Trzebiałowskiego, ks. Mehl na Mączewskiego i t. d., księża, którzy od szeregu lat prowadzą systematyczną walkę ze Szkołą polską, np. zniszczyli Tow. Polskie i szkołę na kolonii Muriçy, po uprzedniem obiciu nauczyciela przez rozfanatyzowane tłumy. Na kolonii Barbarze publicznie głosili z ambon, że „nima Polska, nima Polaki, Polska je w nibi“ itd. Dzisiaj dzięki budzącemu się coraz więcej poczuciu narodowemu są ostrożniejsi.

W imieniu ludu polskiego miał działać p. Gross, ex-tanemista, nieumiejący pisać po polsku, obecnie redaktor werbistowskiej „Gazety Polskiej“, tej samej gazety, która za redakcyi p. Leona Bieleckiego dowiodła, iż zakon werbistowski ma na celu krzewienie poczucia potęgi, siły i wpływów niemczyzny.

Rozumie się, opinia parańska z nieufnością przyjęła t. z. „związek,“ a z uśmiechem politowania

patrzała na odezwy i fotografie związkowe rozesłane po Europie i Ameryce Północnej.

Kiedy jednak związek zamiast szerzenia oświaty, pomijając już zapowiedziany „rozwój, i poparcie przemysłu i rolnictwa polskiego w Brazylii", ograniczył się jedynie do roli przedstawiciela Polaków w stosunkach z Brazylianami i zaczął szumną frazeologią ogłupiać kolonistów, pierwotna nieufność zamieniła się na oburzenie i posypały się protesty. Inicyatywę dało Tow. „Oświata" w Ponta-Grossie z Dr. L. Kossobudzkim na czele. Zwróciło się ono z listem otwartym do wszystkich tow. polskich w Paranie, nawołując je do zaprotestowania przeciwko samozwańczej roli „Związku" przedstawiciela interesów polskich i do podania do ogólnej wiadomości, iż społeczeństwo polskie nawet moralnie nie może być odpowiedzialne za działalność „związku." Dziesięć towarzystw — 7 z nich ma własne szkoły, — 1 grupa samego „Związku" i Polacy zamieszkali w Rio Negro i Fernandes-Pinheino wyrazili swą solidarność z listem otwartym. Prawdopodobnie ilość protestujących jeszcze się powiększy.

„Gazeta Polska" w odpowiedzi zdobyła się jedynie na wymyślania i potwierdziła iż „księża werbiści są pożądanymi członkami zarządu związku".

Protesty przeciwko „związkowi" są pierwszą poważniejszą próbą wytworzenia opinii publicznej wśród Polonii parańskiej, są zarazem oznaką otrząsania się z pod przemożnych wpływów klerykalnych, podwójnie szkodliwych tutaj na obczyźnie, bo, krzewiąc pokorę i poczucie niższości wśród kolonistów polskich, w ostatecznym rezultacie prowadzą do wynarodowienia.

Walka o wyzwolenie stanie się wkrótce trudniejsza dzięki przybywającym do Parany nowym zakonom Jezuitów i Pasyonistów.

Zwolennicy „Zarania" w odpowiedzi na powiększenie się czarnej armii dążą do pomnożenia liczby przedpłatników tego pisma, która zapewne przekroczyła 50. „Zaranie" zdobyło w Paranie niemniej gorliwych przyjaciół, niż w starej ojczyźnie. Dzięki niemu nawiązuje się nowa nić, łącząca naszego wychodzcę z Polską i nić może najsilniejsza. Widziałem, z jakim nadzwyczajnym zainteresowaniem, z jakim zamiłowaniem czytali koloniści, i to osiedleni w Paranie od lat 20 — otrzymane N. N. „Zarania"; widziałem też, jak nowe myśli i uczucia ono w nich budziło. Nawet Galicyanie, stali czytelnicy „Przyjaciela ludu", zwykle w Paranie zamieniają go na „Zaranie". Ironia losu sprawiła, że „Zaranie", tak strasznie prześladowane przez księży w kraju, tutaj zostało wprowadzone przez księdza, mianowicie, znanego ze swej szerokiej działalności oświatowej, ks. Anusza. Wszyscy czytelnicy „Zarania" swoje zapoznanie się z tym pismem zawdzięczają wyłącznie jemu.

W swej działalności nie zraża się ks. Anusz ani niewdzięcznością, ani denuncyacyami — pewien królik parański chodził z listami prywatnymi ks. Anusza do biskupa, — ani oszczerstwami, których mu nie szczędzą księża werbiści, misyonarze i inni przyjaciele ciemnoty, lecz dąży niezłomnie do wytkniętego celu, a tym jest wszechstronny rozwój Polskości w Paranie.

Brazil, Parana, Araucaria. 6. października 1911.

Michał Pankiewicz.

GRABOWIEC.

Dynastyczna austryackość Koła.

Wiedeń 13 grudnia.

Wypadki nieraz dziwnie się składają. W chwili, gdy wyodrębnienie Chełmszczyzny jak zmora zaległo umysły, przyszło Kołu przeprowadzić dyskusyę zasadniczą co do wytycznych swej polityki. I zdarzyło się tak, że na pytanie, czy wolno Kołu wiedeńskiemu opowiedzieć się w kwestyi zakordonowej, odezwała się uroczysta deklaracya, że Koło jest wyłącznym stróżem tych interesów narodowych, które zamknięte są słupami czarnożółtymi.

Bo taką jest treść tych wynurzeń. Niechaj nikt nie przypuszcza, jakoby odrzucona rezolucya wszechpolska była przeciwległą intencyom uchwał powziętych uroczyście 43 głosami większości Koła. *Za polityką odmienną, zasadniczo przeciwległą od toru utartego*, opowiedziało się *tylko tych siedmiu posłów*, którzy się wstrzymali wogóle od głosowania.

Jakież bo opozycye wrogie stanęły naprzeciw siebie?

Podczas pierwszej rozprawy budżetowej wygłosił w dniu 27 października b. r. prezes Koła, p. Biliński, mowę programową, w której m. i. *utożsamił interesy polskie z interesami tego państwa i oświadczył, że stało się to za sprawą monarchy, który naród podbił niejako moralnie przez swe poczucie sprawiedliwości.*

Mowa powyższa wywarła wśród umysłów, niepohańbionych jeszcze rezygnacyą, wrażenie podniecające. Popłynęły zewsząd głosy protestu, które konkretny znalazły wyraz w rezolucyach licznych wieców publicznych, w kraju odbytych.

Frakcya endecka postanowiła skorzystać ze sposobności taniej. W pogoni za reklamą, jedynym środkiem odznaczenia się, pozostałym z czasów lepszych, chwycono okazyę, aby stanąć w glory „narodowej". Sprostowano dyskusyę polityczną, aby „potępić" ultralojalne zachowanie się p. Bilińskiego. Dyskusya obszerna, monstrualnie obszernymi komunikatami Koła streszczona, wyłuskała w końcu opinię frakcyi narodowo-demokratycznej, ujętą jak następuje:

„Koło polskie, *wierne swej dotychczasowej tradycyi, popiera dynastyczną i mocarstwową politykę Austryi i odnosi się z uczuciem głębokiej wdzięczności do wspaniałomyślnego monarchy, który zapewnił nam możność rozwoju narodowego* — nie może jednak identyfikować swych narodowych interesów z interesami Austryi..."

Zestawimy teraz enuncyacyę p. Bilińskiego z powyższym wszechpolskim wnioskiem p. Skarbka i zapytajmy sumienia i rozumu, czy jest jakakolwiek zasadnicza różnica między oboma poglądami. Tu

i tam hołd pod adresem potomka Maryi Teresy, tu i tam orgia frazesów dynastycznych. Jedyny ślad dyferencyi, to kwestya: utożsamiać, czy nie, interesy narodowe z państwowymi. Kwestya rozumie się podrzędna i tylko sztucznie pretendująca do jakiejś programowości. Układ sił narodowościowych w Galicyi sprawił, że b i e ż ą c e interesy narodowo-polityczne można nawet istotnie utożsamić z interesami państwa, jak to się zresztą dzieje od pół wieku.

Podstawne tezy stosunku narodu naszego do państw rozbiorowych, nie dadzą się wydobyć z konstelacyi politycznych bieżących, chociażby najdłużej trwających. Potrzeba w tym wypadku ujęcia całokształtu ewolucyi i potrzeba... odwagi!

Kłamstwem jest naczelna zasada konserwatyzmu co do źródła względnych powodzeń naszych w Galicyi. W tej mierze stworzono legendę bluźniącą nie tylko nowoczesnemu pojmowaniu problemów państwowo-społecznych, ale także urągającą prawdzie historycznej.

Łasce, usposobieniom życzliwym, sprawiedliwości i rzeczom tym podobnym nie wolno przypisywać zdobycia pozycyi, zajętej przez nas w kraju.

Historya powiada.

Wyrzucona po bitwie pod Sadową (1866) ze związku rzeszy niemieckiej, Austrya *musiała* byt swój oprzeć na zasadach nowych. Austrya *musiała* rozliczyć się z pretensyami Węgrów i zgodzić się na dualistyczny układ państwa. W obrębie cislitawskim, Austrya *musiała* zlikwidować swe siły i umiarkować istotne aspiracye. Bilans przeprowadzony nie dawał na Galicyę żadnej nadwyżki. Żywioł niemiecki, wobec cywilizacyjnych zasobów polskich, był za słaby. Należało zrejterować.

Żelazne nakazy konieczności nieugiętej, przymus równie rozpaczliwy jak dojmujący, wskazał jako jedyny sposób wyjścia przyznanie autonomii.

Oto prawda jedyna.

I prawdy tej zaciemniać, zasłaniać nie wolno.

Nie wolno czynić tego klątwą paczenia duszy narodu.

I dlatego poseł Śliwiński w dyskusyi Koła zarówno rezolucyę p. Skarbka, jak i enuncyacyę Bilińskiego i aprobujące oświadczenie Korytowskiego, uznał za nieodpowiadajace istocie rzeczy i od głosowania się wstrzymał.

Tylko tych siedmiu posłów, którzy nie wzięli udziału w głosowaniach nad rezolucyami, oświadczyło się przeciw dynastycznej austryackości Koła.



Z TEATRU.

(„STRACEŃCY“ — dramat w 4 aktach Tadeusza Konczyńskiego, nagrodzony na konkursie teatrów rządowych w Warszawie).

(S. F.) Jesteśmy świadkami zgoła sensacyjnych wypadków: pojawiającym się na scenie warszawskiej dziełom dramatycznym towarzyszą głośne manifesty autorów, czy to w formie parergów i artykułów, mających rzucić nowe światło na ubiegłą dobę dziejów naszych i naszego do niej stosunku, czy to w formie protestu na ataki krytyki. I zdawałoby się, że tak głośno dokonywa się jakiś przełom w polskiej sztuce, zwłaszcza w dramacie, że manifesty te torują drogę nowym objawieniom twórczym. Czy istotnie zanosi się na coś podobnego — odpowiemy, zdając sprawę z ostatniego utworu T. Konczyńskiego, a w przyszłości, gdy oceniać będziemy „Cyganeryę Warszawską“ A. Nowaczyńskiego, od tak dawna zapowiedaną przez scenę lwowską. Te bowiem dwa dramaty pojawieniem swem wywołały najpierw w Warszawie, potem zaś w całym kraju wiele hałasu i ożywionej polemiki w prasie.

T. Konczyński w „Straceńcach“ nie podejmuje się przedstawienia, lub rozwiązania jakiegoś problemu etycznego, lub społecznego. — Chodzi mu jedynie tylko o przeprowadzenie pewnych sytuacyi, które w założeniu już przez dramatyczne postawienie i zawikłanie stają się kolizyą bez wyjścia. Tak więc upada stanowisko współprzeżywania czynnego, jakie widz musiałby zająć wobec zagadnień, przez autora poruszonych.

Rola widza ogranicza się jedynie do obserwacyi sensacyjnych, więc ciekawych sytuacyi, w jakie powikłał autor trzy osoby. Autor nie pozostawia widzowi po zapadnięciu kurtyny żadnego zadania, nad którem musiałby się zastanowić po wyjściu z teatru.

Jest natomiast anekdota o trzech osobach, nad któremi zaciążyło nieszczęście: o Janie Otawskim — czarny charakter, brutalnie zdobywający cudzą żonę, o pani Łucyi — bezwolne medyum i o Wacławie Sawiczu — człowiek idealnie dobry i odpowiednio słaby. Otawski głosem, oczami magnetyzujący swą ofiarę i bohaterka, niezdolna do najpozorniejszego zaprotestowania przeciwko brutalności i zamanifestowania swej samodzielności, to postacie o tak prostej konstrukcyi, iż już jako takie ułatwiają dramaturgowi wszelkie kombinacye. Do nich dołącza się jeszcze gołębia dusza Sawicza, więcej niż dobra i szlachetna, bo słaba. I w takiem kółku dobranem zaczyna się igrzysko: walka dwóch samców o biedną p. Łucyę.

I później, gdy szlachetny Sawicz szuka zemsty na uwodzicielu żony, dowiadujemy się, że także brutalny Otawski nie jest tak zły; kocha bowiem nad wszystko Łucyę i miłość ta uświęca wszystkie środki, jakimi zdobył ją i bronić zamyśla.

Cała zaś anegdota podana w nader efektownej szacie: w czterech aktach, przyznać trzeba, zbudowanych, jak rzadko który dramat polski. Pod tym względem autor „Straceńców“ nie ustępuje takim majstrom scenicznym, jak Bataille, Bernstein, Przybyszewski. Każdy akt przedstawia się jako zwarta i silna całość, której korona jest scena o wielkiem napięciu dramatycznem. Największe wywołuje autor wrażenie w ostatnim akcie, gdy Sawicz gotuje się do ostatecznej rozprawy z wrogiem.

Nie można jednak przeoczyć pewnych słabych stron tej budowy. Od zarzutów bowiem nie jest wolne prawdopobieństwo spotkania dwóch rywalów w akcie trzecim — zgodzić się na nie bez zastrzeżeń można jedynie wtedy, jeżeli autor pozwoli uważać Otawskiego nie tylko za magnetyzera, lecz także za jasnowidza. Także niezbyt dowcipnie skonstruowane spotkanie Sawicza z p. Łucyą w domu fabrykanta Ofheima grzeszy nazbyt ciężko spreparowanym wstępem.

Tak, dzieło ostatnie Konczyńskiego zasługuje jedynie na miano dobrze zrobionego dramatu familijnego, pod którym bez ujmy mógłby położyć swe nazwisko niejeden wirtuoz techniki dramatycznej. Nowych wartości autor z dziełem tem nie wnosi do sztuki naszej, ani w nowy sposób nie porusza w niem zagadnień psychologicznych.

Na scenie naszej wystawiono „Straceńców“ wzorowo. Trzy główne role znalazły doskonałych odtwórców w osobach pp. Żelazowskiego, Adwentowicza i Bednarzewskiej.

SILVA RERUM.

AKCYA CHEŁMSKA WE LWOWIE. 11. grudnia odbył się w sali Sokoła wiec obywatelski, na którym wniesiono protest przeciw zakusom czarnosecinnych popów. W dłuższym referacie wykazał dr. Romer znaczenie gwałtu. P. Hudec, imieniem polskiego proletaryatu austryackiego zaboru przyłączył się do protestu. Po wiecu udała się część uczestników pod pomnik Mickiewicza, gdzie przemówił p. Dąbski, poczem ruszono ulicą Kopernika; tu przyszło do starcia z policyą, która zachowała się po swojemu kulturalnie. Starcia ponowiły się koło redakcyi „Kurjera Lwowskiego", ponieważ policyanci uświetnić chcieli koniecznie swój tryumf zdobyciem amarantowo-białego sztandaru, niesionego na czele pochodu. Policyanci tak się rozochocili, że rąbali uciekających, mimo świstawek komisarzów, nawołujących do zaprzestania masakry. Następnego dnia odbyło się uroczyste posiedzenie Rady miejskiej, poświęcone sprawie chełmskiej. Po posiedzeniu ruszyła część publiczności pod redakcyę „Prykarpackoj Rusi", gdzie wybito szyby i usiłowano dotrzeć pod konsulat rosyjski, skutkiem czego przyszło do nowego starcia z policyą. Rezultatem demonstracyi jest wielu poturbowanych i rannych, z tych jeden bardzo ciężko. Wielu demonstrantów aresztowano i mimo oddania legitymacyi zamknięto w sądzie śledczym. Przeciw „europejskiemu" sposobowi urzędowania policyi i władz protestował wiec ogólno-akademicki, a ponadto sprawa oprze się, dzięki p. Sliwińskiemu, o parlament. Demonstracye ostatnie dowiodły raz jeszcze, że czas najwyższy skończyć z instytucyą policyi wojskowej, w której każdy żołnierz jest panem życia i zdrowia ludności, a nad którą dyrekcya nie posiada najmniejszej władzy dyscyplinarnej. Instytucya ta nie istnieje już zresztą nigdzie w świecie cywilizowanym poza Lwowem, Krakowem i Przemyślem. Obowiązkiem Rady miejskiej i Wydziału krajowego jest zająć się już raz tą sprawą.

TRZYDNIOWY SEJM ZORGANIZOWANEGO PROLETARYATU. Po blizko trzyletniej przerwie, po przebyciu zwycięskiej kampanii wyborczej i utrwaleniu swoich wpływów w kraju, zjechało się do Lwowa 123 delegatów i delegatek z Galicyi i Śląska, by odbyć Kongres Polskiej Partyi Socyalno-Demokratycznej, którego celem było wytyczyć dalszą linię rozwojową tego stronnictwa.

Niema dziś w całej Polsce ugrupowania politycznego, któreby bacznie nie przykładało ucha do obrad tego Kongresu. W okresie nacyonalizacyi, że się tak wyrazimy socyalizmu, w chwili rozprężenia się austryackiej międzynarodowości przez separatyzm czeski, nie może być obcem każdemu myślącemu politycznie umysłowi w Polsce, jakie w tej kwestyi stanowisko zajmują polscy socyaliści.

Pierwszym objawem uwydatniającym, jak dalece polski socyalizm wybiega poza kordony, jak dalece wiąże go serdeczny i bratni stosunek do socyalistów polskich w innych zaborach, był płomienny protest polskiego proletaryatu w sprawie oderwania Chełmszczyzny, uchwalony przed rozpoczęciem obrad Kongresu. Następnie dało się to odczuć w powitaniach. Śród gości Kongresu był poseł, dr. Elenbogen, przedstawiciel niemieckiej socyalnej demokracyi w Austryi, był poseł Cingr i Nadwornik, imieniem czeskiej socyalnej demokracyi (Centralistów) i posłowie Holerman i dr. Smeral imieniem autonomistów, ale żaden z nich nie doznał tego stopnia serdeczności, płynącej z głębi duszy i z całego serca, jakim zebrani na Kongresie witali przedstawiciela polskiego socyalizmu w zaborze rosyjskim, Józefa Piłsudzkiego.

Sprawozdanie drukowane, przedłożone Kongresowi przez komitet wykonawczy i poważna dyskusya, tocząca się nad tem sprawozdaniem, świadczą wymownie, jak wydatną jest praca w szeregach socyalistycznych, jak coraz szersze zakreśla ona koła, jak dociera do najodleglejszych wysepek życia robotniczego, wyrzuconych na mieliznę naszego życia społeczno-politycznego.

To samo da się powiedzieć o pracy parlamentarnej 8 posłów socyalistycznych. Ogrom pracy, jaki wykonują ci przedstawiciele ludu roboczego, uwydatnia jaskrawo, że poczytności stanowiska, jakie zajmuje ta delegacya, odpowiada nie tyle jego siła liczebna, ile jakościowa.

Najciekawszym punktem porządku dziennego był stosunek do innych stronnictw socyalistycznych.

Pięknym był pod względem formy, głęboki pod względem treści referat, wypowiedziany z wielką swadą oratorską, właściwą posłowi Ignacemu Daszyńskiemu. Dał dokładny obraz polityki P. P. S. D. i jej stosunku do innych stronnictw socyalistycznych. Łączność międzynarodowa, tkwiąca w sercach i umysłach przywódców polskiej klasy robotniczej, wypływa z ideałów ogólno ludzkich, nie roniąc nic z postulatów narodowych. Kto się przysłuchiwał, jak poseł Daszyński mówił o tradycyach rewolucyi polskiej, z jakim szacunkiem i ukochaniem mówił o historyi walk o Niepodległość, ten musiał uwierzyć, że przyszłość narodu i jego wyzwolenie należy do polskiego ludu pracującego.

Szeregiem uchwał i rezolucyi w sprawach drożyzny i reformy wyborczej do Sejmu i gminy, zakończył się Kongres. Z pieśnią na ustach o czerwonym sztandarze, rozjechali się delegaci, by we wszytkich zakątkach kraju stanąć do nowej walki, wiodącej do nowych zwycięstw. *F. K.*

TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE we Lwowie odbyło ostatniej soboty walne zgromadzenie. Jak w latach dawniejszych, Towarzystwo rozwija się wśród najtrudniejszych warunków, niepopierane należycie przez społeczeństwo, zwłaszcza nie doznające tej opieki ze strony nauczycielstwa krajowego, jaka mu słusznie się należy. Mimo wszystko, Towarzystwo wydaje już rok siedmnasty jedyne na ziemiach polskich, ściśle naukowe czasopismo ludoznawcze i utrzymuje stosunki z pokrewnemi towarzystwami cudzoziemskiemi. Główną podporą czasopisma są na razie subwencye rady miasta Lwowa,, sejmu krajowego i wiedeńskiego ministerstwa oświaty. Smutno powiedzieć, że bez tych subwencyi byt czasopisma byłby całkowicie zagrożony, czyli inaczej, że społeczeństwo galicyjskie nie byłoby zdolne utrzymać jedynego pisma, mającego na celu studya nad pierwotniejszymi przejawami podłoża etnograficznego na ziemiach polskich. W dyskusyi, jaka się wyłoniła, postanowiono między innemi zwrócić się z memoryałem do Rady szkolnej krajowej, z prośbą o wydanie okólnika, któryby zwrócił uwagę nauczycielstwa na ważność celów Towarzystwa. Nareszcie dokonano wyboru. Na czele stanęli: jako prezes prof. A. Kryński, jako wiceprezesowie: Dr. W. Bruchnalski i dyr. Bal. Do zarządu weszli pp.: B. Baranowski, Ciszewski, Fiszer, Janik, Kallenbach, Matusiak, Rybowski, Treter, Wałach, Warchałowska, J. Zaleski.

NAGRODA POKOJOWA NOBLA (r—s). Jak złośliwa ironia, jak żart niesmaczny wygląda — wyznaczenie w tym roku nagrody „pokojowej" Nobla. Wojna z powodu Marokka wisiała na włosku; toczy się wojna między Włochami a Turcyą; Rosya przygotowuje się do wyprawy zbójeckiej na Persyę. Nie można być pewnym, czy nagle nie zaognią się, nie nabrzmieją jakieś inne przeciwieństwa między państwami, czy na tym, lub owym punkcie widnokręgu nie pojawi się nowa chmura, wojną brzemienna. A tu, jak gdyby nic się nie stało, jakgdyby naokół panował spokój, niczem niezakłócony, jakgdyby idea „wieczystego pokoju" święciła tryumfy radosne — rozdaje się nagrody „pokojowe".

Cała działalność t. zw. pacyficystów świadczy o rajskiej naiwności i niewinności tego rodzaju propagandy, dążącej nie do wyrównania i usunięcia sprzeczności, nie do stworzenia warunków i stosunków, umożliwiających pokojowe współżycie, nie do prowadzenia szerokiej akcyi na tle interesów i ideałów mas robotniczych, ale — do „wyperswadowania" warstwom rządzącym wszystkich krajów, że pokój jest lepszy od wojny. Różana woda i miodowe słówka mają być lekiem na wojnę!

Ale ta naiwna i słodziuchna ideologia staje się poprostu czemś wstrętnie obłudnem, gdy jej głosik zakatarzony odezwie się wśród ryku armat i szczęku broni. Staje się wtedy jaskrawo wyraźnem, że jest to poprostu sport humanitarny, zdający sobie sprawę ze swej bezsilności, ale wcale z tego powodu nie wpadający w rozpacz. Bo taki sport jest rozrywką, do niczego nie zobowiązującą, świadomą tego, że nikt jej poważnie nie traktuje, że nikt się z nią nie liczy. „Pacyfizm", zajadający smaczne obiadki podczas uroczystych przyjęć na dworach królewskich, głosujący w parlamentach za zbrojeniami, namaszczony i pełną kieszeń traktacików pokojowych mający podczas pokoju, a podczas wojny słodziuchno wyczekujący pokoju — jest tylko pewną odmianą mieszczańskiej obłudy.

I z kanonem tej obłudy zupełnie jest zgodne, że w roku wojny rozdaje się nagrody „pokojowe".

PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII NAJEZDNIKÓW. (r--s). W czasie Rewolucyi nietylko w Rosyi, ale i w zaborze rosyjskim wielkie nadzieje pokładano w buntach żołnierskich. Żołnierze, nawet w Królestwie polskiem, chętnie dawali posłuch agitacyi przeciwrządowej; łatwo ich było przekonać o potrzebie wolności politycznej, jeszcze łatwiej — o słuszności żądań ekonomicznych włościaństwa, a już najłatwiej — o krzywdach, które im się dzieją w wojsku, o tem, że należy dolę żołnierską polepszyć. Ponieważ zaś w Rosyi niezadowolenie żołnierzy przeradzało się w wielu wypadkach w jawne bunty, więc — i u nas łudzono się nadzieją, że uda się masę żoł-

nierską zrewolucyonizować, że ona przestanie być sprawnem narzędziem w rękach najezdników, a zmieni się w wierne, zwycięskie narzędzie Rewolucyi. Zwłaszcza esdectwo nasze, „organicznie wcielone“ do Rosyi, z sentymentalnym zachwytem (esdecy zawsze są sentymentalni i cielęco zachwyceni, gdy prawią o przyszłej Rosyi) — otóż esdectwo opowiadało robotnikom polskim, jaka to będzie łatwa, tania i przyjemna rewolucya w Królestwie, gdy jako przedni jej hufiec wystąpią — żołnierze rosyjscy. Nie potrzeba chyba dodawać, co rzeczywistość uczyniła z temi rusofilskiemi złudzeniami, z temi dziwacznemi wydzielinami „wcielonego do Rosyi“ organizmu.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad psychologią żołnierza, nawet „uświadomionego“, gdy jednocześnie musi być najeździkiem. Podamy tu jedynie ciekawy przyczynek, zaczerpnięty z pisemka socyalistów-rewolucyonistów rosyjskich, „Za Naród!“, przeznaczonego dla żołnierzy i marynarzy. Jest to korespondencya z Helsingforsu, zdająca sprawę z żołnierskich nastrojów. Otóż autor, może sam służący w wojsku, pisze: „Zabójstwo Stołypina co najmniej przez połowę żołnierzy powitane zostało z zachwytem, szczególnie radzi są żołnierze, pochodzący z klasy robotniczej“. Nie mamy powodu wątpić, czy autor wiernie oddaje nastrój żołnierzy; nie ulega wątpliwości, że nawet dziś, w czasach reakcyi, masa ludowa w Rosyi cieszy się, gdy minister-kat i tyran — padnie ofiarą zamachu. Nie dziwimy się, że tak samo cieszyć się może „conajmniej połowa żołnierzy“ garnizonu helsingforskiego. Tem ciekawszy jest stosunek tych żołnierzy do *finlandczyków*. Okazuje się, że żołnierze rosyjscy, cieszący się ze śmierci Stołypina, jednocześnie, w stosunku do Finlandyi, są „świadomymi“ Stołypinowcami. „Wedle słów pewnego feldfebla, wina finlandczyków polega na tem, że oni, będąc pod rosyjską władzą, nie chcą uznać rosyjskiego cara, nie są posłuszni rosyjskim prawom, nie chcą służyć w wojsku, żądają, żeby im wolno było zbierać się i t. d. Powoływano się przytem i na Polaków, i na żydów, i na kaukazczyków, którzy przecież też są zawojowani, a służą w wojsku, posłuszni są prawom i płacą podatki, a finlandczycy dlaczego nie chcą? *Takie tłómaczenie zupełnie przekonywa żołnierzy;* zwłaszcza argument: „nie chcą służyć w wojsku“ usposabia ich „*bardzo wrogo*“.

Jak widzimy, żołnierze rosyjscy, nawet „uświadomieni“, cieszący się ze śmierci Stołypina, pełnią służbę w Finlandyi „nie tolko za strach, no i za sowiest'“, nie tylko jako bierne pionki żołdackie, ale i jako najezdnicy, wrogo usposobieni dla finlandzkiej odrębności.

Z OBOZÓW RUSKICH. Rokowania w sprawie ugody polsko-ruskiej uważać należy, przynajmniej chwilowo, za rozbite wobec niechęci polityków „ukraińskich“ do zawarcia kompromisu dla Polaków możliwego. Politycy rusey zaznaczyli ponadto swoją „dobrą wolę“ świeżem wystąpieniem przeciw najżywotniejszemu postulatowi krajowemu t. j. kanałom. We Lwowie odbył się Kongres U. P. S. D. Szowinistyczna mniejszość delegatów atakowała zarząd za potępienie broszury Baczyńskiego, krytykującej ostro przyjaznych Polakom działaczy socyalistycznych: Hankiewicza, Meленia i p. Wityka. Nie uzyskawszy większości, założyli separatyści protest i opuścili kongres.

Z dwoma wyjątkami, są to żywioły, nie biorące w pozytywnej pracy ruchu proletaryackiego żadnego udziału. Strata więc dla U. P. S. D. nie wielka.

Moskalofile usiłowali odbyć we Lwowie kongres. Policya rozwiązała go jednak, z powodu nieformalności w dwu zaproszeniach.

Pojawiło się w Galicyi ciekawe zjawisko, na które baczną zwrócić należy uwagę: masowe przechodzenie włościan z Unii na schizmę. Obok propagandy moskalofilskiej, działa tu niewątpliwie wyzysk ekonomiczny ludu przez kler „ukraiński“, górujący pod tym względem o wiele nad polskim. Episkopat ruski nie umiał dotąd przeciwstawić ruchowi temu nic, poza działaniem żandarmeryi i starostw. Jesteśmy przeciwnikami wznowienia w wieku XX metod XVII, choć wzrost prawosławia pod płaszczykiem schizmy wschodniej na naszej ziemi, uważać musimy za poważne niebezpieczeństwo. Bylibyśmy przeto bardzo radzi, gdyby kler unicki w e w ł a s n ym i n t e r e s i e przeciwstawił temu ruchowi równie gorliwą propagandę, jaką przeciw nam rozwija. Od prawosławia grozi mu chyba większe niebezpieczeństwo, niż od „łaciników“, o których zdobycie stacza tak heroiczne i, niestety, aż zbyt skuteczne boje.

NIECH ŻYJE „CNOTLIWA ZUZANNA“. Gdzieś bardzo daleko, za lasami, za rzekami, pono aż w samym Krakowie, dano „Legion“ Wyspiańskiego. Jedno za drugiem z wielkich dzieł nieśmiertelnego poety zdobywa scenę i daje uczestnikom owe wielkie wzruszenia duchowe, jakie przeżywali Grecy ateńscy, wsłuchując się w potężne słowa Ajschyla i Sofokla. U nas inaczej! U nas inaczej! U nas Cnotliwa Zuzanna urządza z wieczoru na wieczór rozpustne występy, komisya teatralna nie posiada się z radości, a narodowa publiczność cieszy się i zaśmiechuje, dławi się niemal najgorszymi instynktami. Młodzież również bije brawa i wyrasta za dobrym przykładem na „cnotliwych obywateli“. Dobra rada miejska, dobra komisya teatralna, dobry pan dyrektor. Pozwalają się śmiać, narastać w tłuszcz i wodną puchlinę w sercu i głowie.

RADA KANTONU BAZYLEI uchwaliła obowiązkowe palenie zwłok. Jest to pierwszy wypadek w świecie. Z początkiem tego roku uchwalono w Prusiech fakultatywne palenie zwłok.

Z RAPTULARZA.

W AUSTRYACKIM PARLAMENCIE. Sprawa otworzenia włoskiego fakultetu prawniczego rozbija się dotąd o opór „Nationalvereinu“. Prowadzą oni przeciw temu *in pleno* i w komisyi zaciętą opozycyę. Jeden z posłów niemieckich posunął się tak daleko, że wręcz oświadczył, że Włochom nie można dać uniwersytetu, ponieważ — dowiedli w Trypolisie, że są niekulturalni. Obelżywy ten wykręt tak rozdrażnił posłów włoskich, że grożą masowem złożeniem mandatów.

W MACEDONII dokonano kilku zamachów dynamitowych. W powietrze wyleciał meczet w Üpek, co tak wzburzyło ludność muzułmańską, że przyszło do częściowego pogromu Bułgarów. Kto i *cui bono* dokonał zamachów niewiadomo.

W CHINACH zawarły strony wojujące dwutygodniowe zawieszenie broni. Regent złożył swą godność. Konsul austryacki w Timtsinie wydał zdradziecko 7 rewolucyonistów rządowi cesarskiemu. Trzech z nich już powieszono. Obowiązkiem wszelkich czynników wolnościowych wiedeńskiego parlamentu jest żądać surowego ukarania go za bezprawie.

W TRYPOLISIE cofnęli się Turcy w góry Gurriuna i tu odparli ścigających ich Włochów pod Dżeb-el-Dżumną. Również pod Derną ponieśli Włosi nową porażkę.

ROZBIÓR PERSYI utknął nagle skutkiem wkroczenia wojsk tureckich do Persyi. Rosya nie żąda obecnie zaborów, ale tylko skasowania parlamentu, który wedle jej opinii przyczynia się do niepokojów w kraju. Zdanie to poparła i matka parlamentaryzmu, Anglia.

„ZYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce.	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 h.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Nakładem Spółki wydawniczej.

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO". LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".